Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK I NR. 24 WARSZAWA, DNIA 15 MARCA 1933 R. CENA 50 GR.

Psychoza ratownicza

Gdy się czyta książki i czasopisma z okresu ostatnich paru lat, dochodzi się do przekonania, że staczanie się ludzkości ku ruinie jest dziś aksjomatem, powszechnem przeświadczeniem. Zgodność w tej mierze jest czemś zadziwiającem. Spytajmy hitlerowca o obecny stan rzeczy, a odpowie, że świat ginie, bo komuniści gotują mu zagładę. Spytajmy liberała i pacyfistę, a odpowie, że hydra faszyzmu niesie ludzkości groźbę zniszczenia. Komuniści powiedzą, że ludzkość dusi się w oplotach kapitalizmu i nic jej nie uratuje przed powszechnem bezrobociem i rzezią wojenną, o ile naturalnie nie zbawi jej Marks i Lenin. Kapitaliści będą równocześnie radzić gorączkowo w swych gabinetach nad przywróceniem ładu i dobrobytu przez zdławienie zakusów komunizmu.

Nie koniec na tem. Rządy w trwodze o byt społeczeństw głowią się, jakby tu unieszkodliwić parlamenty, to siedlisko partyj, szerzących anarchiczny nieład, źródło chaosu wewnętrznego, a co zatem idzie, słabości zewnętrznej. Demokracja parlamentarna wskaże dyktaturę i samowolę rządów, jako źródło kryzysu, nastrojów rewolucyjnych i cierpień miljonów. Wolnomyślni będą mówić z rozpaczą o fali reakcji i klerykalizmu, spychającej ludzkość wprost ku przepaści, zaś ludzie religijni, żegnając się krzyżem, przysięgną, że świat znajdzie się już niedługo na dnie piekła, o ile cud jakiś nie wyrwie go z paszczy bolszewizmu, bezbożnictwa, żydostwa i masonów.

Wszyscy ci ludzie czują, że dzieje się coś strasznego i niezrozumiałego. Widowisko byłoby groteskowe, gdyby sumienie pozwalało nam się śmiać w takiej sytuacji. Powszechność grozy i lęku świadczy bowiem, że cała ludzkość solidaryzuje się przynajmniej w tem jednem: w przekonaniu o nieuchronnej i bliskiej już katastrofie, o ile *tak* będzie dalej. Ale gdy zapytamy, jak? — odpowiedzi będą rozmaite: Bo faszyzm... bo komuniści... bo kapitał... bo nacjonalizm i t. d., i t. d.

Jeżeli teraz przyjmiemy tę powszechną *świadomość katastroficzną* jako punkt wyjścia do dalszych rozważań nad międzynarodową sytuacją polityczną, będziemy mogli posunąć się o krok dalej, a mianowicie określić jaką postawę wobec zjawisk dyktuje ludziom ten nastrój zbiorowy. Otóż, jedni — najmniej wrażliwi — przyzwyczajają się do tej myśli, i żyją sobie z dnia na dzień, tak jakby tej groźnej rzeczywistości wcale nie było; drudzy ustosunkowują się do niej egoistycznie, głowiąc się, jakby tu salwować własną skórę; trzeci wreszcie, umiejąc czuć i myśleć kategorjami społecznemi, spieszą na ratunek ginącemu światu, albo stając w szeregach partyj, organizacyj i t. p., albo też obmyślając samorzutnie środki zaradcze, gromadząc koło siebie innych ludzi.

Dwa pierwsze typy nie wchodzą tu w rachubę, wpływ ich bowiem na kształtowanie się wydarzeń jest minimalny i raczej negatywny, tylko trzecia grupa może nas tedy interesować; z niej też rekrutują się wszyscy aktywni, faszyści, komuniści, radykali i klerykali, przywódcy rządów i stronnictw, wielcy kapitaliści, ekonomiści, dyplomaci, doktrynerzy, twórcy sekt, związków, stowarzyszeń, członkowie lig pacyfistycznych i organizacyj wojskowo - przysposobieniowych.

Aby zrozumieć psychologję tych ludzi musimy sobie uświadomić, że celem ich, mniej lub więcej sprecyzowanym jest: przeciwdziałać grożącej katastrofie, w mniejszym lub większym zakresie, zależnie od ich pojemności umysłowej i uczuciowej. Dlatego winniśmy im wszystkim, jako bezinteresownym wyznawcom doktryny czy idei niezaprzeczalny szacunek.

Gdy jednak ogarniemy całokształt tych wysiłków i ofiar, gdy obliczymy statystycznie te masy energji zużywane ustawicznie dla ratowania ludzkości, zrodzi się w nas nieuchronnie pytanie, dlaczego ludzkość ta nietylko nie została dotąd uratowana, lecz — wprost przeciwnie — tonie w coraz bezdenniejszej otchłani. Odpowiedź będzie zrazu bardzo trudna, bo przecież katastrofa nie grozi ludzkości ani od strony przyrody, która dostarcza jej swoich dóbr w nieprzebranym nadmiarze, ani od strony tych ludzi, którzy zachowują się wobec kryzysu obojętnie, lub myślą tylko o własnej skórze.

Dopiero po chwili głębszego namysłu dojdziemy do przerażającego odkrycia, że to nieodwracalne niebezpieczeństwo grozi ludzkości ze strony owej trzeciej, aktywnej grupy, która uparła się ją tak heroicznie podnosić z upadku. Gdy prawdę tę ustalimy już, jako aksjomat, okaże się, że problemat jest djabelnie skomplikowany, bo ludzkość jest, z tego punktu widzenia, wrogiem samej siebie.

W czem bowiem wyraża się ta psychoza ratownicza, ogarniająca dziesiątki miljonów czynnych i bezinteresownych osobników? Oto w organizowaniu się, uzbrajaniu i przysposabianiu, w gwałtownej propagandzie swoich doktryn i postulatów, w bezwzględnem stosowaniu środków zapobiegawczych i represyjnych. Ponieważ socjalistyczny proletarjat nie chce dopuścić do wymordowania ludzkości w wojnie, którą wywoła napewno nacjonalizm i imperjalizm, zmuszony jest tworzyć niezliczone bojówki partyjne, porozumienia międzynarodowe, wywoływać strajki i dążyć ewolucyjnie lub rewolucyjnie do obalenia tego niebezpiecznego ustroju. Ale zmora międzynarodowej konspiracji proletarjatu i wszystkich sił wywrotowych, dążących do zniszczenia tradycyjnych praw i porządku społecznego, nie daje spać po nocach obrońcom ładu, patrjotom i ludziom szczerze religijnym, którzy zmuszeni są do podwajania czujności i stwarzania organizacyj faszystowsko - narodowych. Stronnictwa agitują przeciw rządom, a rządy gniotą je zarządzeniami policyjnemi, cenzurą, zakazami zgromadzeń i t. p. Nacjonalizm zdaje się być tym, który gotuje zamach na ideję wspólnoty wszechludzkiej, zaś internacjonalizm konspiruje przeciw świętości i nietykalności narodu. Wolna myśl musi się opierać zalewowi fanatyzmu religijnego, a Kościół musi prowadzić walkę z bezbożniczą hydrą. W tym szalonym wyścigu o palmę pierwszeństwa w ratowaniu ludzkości zaczynają trzaskać po ulicach karabiny maszynowe, hitlerowcy sztyletują komunistów, tu i tam wybuchają bomby, a gdzieindziej znów płoną klasztory i kościoły.

Atak jest najlepszą metodą obrony. A więc, w tej okropnej histerji strachu, wszyscy atakują. Aby obronić naród — trzeba zniszczyć internacjonalizm, kosmopolityzm, samą ideję zjednoczonej ludzkości. Aby obronić solidarność wszechludzką — trzeba wykorzenić naród. Aby obronić Kościół — trzeba zwalczać myśl wolną, autonomję rozumu. Aby bronić niezależności rozumu — trzeba rozwalić Kościół, skruszyć religję, usunąć samą ideję Boga. Kapitał broni dóbr materjalnych, partje swobód politycznych, rządy autorytetu władzy i całości granic państwa — a wszyscy bronią się, atakując.

Powszechne pomieszanie pojęć sprawia, że przestano już nawet myśleć o przekonywaniu się nawzajem. Panuje stan wojenny, a na wojnie jedynym argumentem jest siła. Stąd ta zajadłość i brutalność, z jaką przeciwnicy tępią się i dławią.

Ale jeśli ta olbrzymia masa energji, skierowana na ratowanie ludzkości, a użyta w istocie na jej zgubę — wali codzień w gmach ładu i pokoju z tak brutalną siłą, to szala problemu przechyla się na drugą stronę: Dlaczego ludzkość dotąd trwa w jakiej takiej dyscyplinie, niestratowana i niezniszczona? — Oto dlatego, że w sferze każdej idei zmagają się dwie przeciwstawne potęgi, a sfera powszechnej walki idej sprowadza się ostatecznie do dwu zasadniczych obozów społecznych, te zaś obozy prą na siebie z równą siłą. A z mechaniki wiemy, że równe siły znoszą się nawzajem.

A więc mamy wciąż status quo ante? Niebezpieczeństwo jest pozorne? Ludzkość podzielona na (z jednej strony): faszystów, klerykałów, nacjonalistów i świat kapitału, oraz (z drugiej strony) komunistów, bezbożników, internacjonał i świat pracy — równoważy się wzajemnie, zmieniając stan walki w stan pokoju? Skąd więc bierze się to głuche poczucie lęku i grozy, ta świadomość katastroficzna, każąca ludziom czujnym i ofiarnym śpieszyć na ratunek ogółowi?

Nie, to poczucie nie myli ich. Tylko, że wróg i niebezpieczeństwo, znajdują się nie na zewnątrz nich, lecz *w nich samych*. Alarmuje ich zdyszany głos sumienia, bo zagrożony jest CZŁOWIEK.

Siły walczące znoszą się, to prawda. Ale jasnem jest, że gdy ludzkość podzieli się na dwie armje o równej liczbie, to, choć stosunek ich — mimo strat obustronnych — nie ulegnie zmianie, zmniejszać się będzie ich suma, unicestwiać się będzie samobójczo ludzkość cała. Jeszcze gorzej, że podstawa i najpierwotniejszy element tej ludzkości, indywiduum, człowiek — rzucony jest na pastwę molocha walki, tak jakby to nie on był jej warunkiem, przyczyną i celem. Jego kosztem odbywa się to koszmarne widowisko. Wszyscy bronią wszystkiego, *prócz człowieka*. I on staje się stawką coraz bezlitośniej rzucaną na szalę, coraz bezwzględniej poświęcaną. Godność i wielkość, wieczysta, nieskończona wartość jednostki ludzkiej zostaje podporządkowana tym dobrom i wartościom zewnętrznym, które jej właśnie powinny służyć. Osobowość, wolny duch, samorzutny rozum człowieka — to sprawy, które w ponurym zgiełku bójki na pięści musiały być zapomniane i zdegradowane na rzecz walorów zwierzęcych, kultu pełnego brzucha i ślepej siły. Kapitalizm i bolszewizm, nacjonalizm i internacjonalizm prześcigają się w tem karczowaniu wyższych funkcyj ludzkiego Ja, koszarując, eksploatując i wyjaławiając jednostki, zmieniając je w bezduszny automat.

W szale swej ratowniczej akcji, ludzkość niszczy jedyny swój punkt oparcia, jedyny środek ratunku od zagłady: *rozum twórczy*. W tej nowej wieży Babel, gdzie stokroć gorsze od biblijnego pomieszanie języków rzuca ludzi, klasy i narody na siebie, jak dzikie zwierzęta — głuchy lęk zdeptanego człowieczeństwa daremnie woła o jeden wspólny język, o jakieś wszechludzkie Słowo.

Nikt nie wie, że punkt przecięcia się tych wszystkich wrogich sił i sprzeczności, jest w Człowieku, a więc w nim samym. I nikt nie uświadamia sobie tej oczywistej prawdy, że gdyby w nim ujrzano miarę owych pokłóconych wartości, zbiegłyby się one w jeden harmonijny *cel powszechny*, w jeden węzeł.

I wówczas okazałoby się, że naród nie jest przeciwieństwem ludzkości, lecz jej koniecznem dopełnieniem i ogniwem. Że indywiduum nie kłóci się z kolektywem, bo ład społeczny jest tylko w powszechności indywiduów. Że kapitał nie może być wrogiem pracy, bo w doskonałem gospodarstwie praca rodzi kapitał, a kapitał zapładnia i karmi pracę. Że religja nie przeczy wolności rozumu, bo tylko wolny rozum może żyć w prawdziwym związku moralnym z istotami rozumnemi i z Bogiem. Że postęp nie przeczy zachowawczości, bo tylko w oparciu o przeszłość można twórczo budować przyszłość w dziejach, że tedy ci z prawej i ci z lewej strony są dwoma współczynnemi skrzydłami jednego lotu. I w tej dwoistej jedności rośnie i wyzwala się genjusz historji — Człowiek.

Norwid i Miriam

O „Poezjach wybranych" Norwida, wydanych ostatnio przez księg. Mortkowicza w opracowaniu Miriama, zamieszcza bardzo interesujące uwagi krytyczne w n-rze lutowym „Przeglądu Współczesnego" *K. W. Zawodziński*. Cytujemy parę zdań ze wstępu i z zakończenia tego artykułu:

„Książka — sensacja. Sensacyjna — dosłownie, jak szczęśliwe rozwiązanie romansu kryminalnego. Więziona przez lat dwadzieścia w tajemniczych lochach, podczas gdy nieznani i nieznający jej przyjaciele walczą o jej wyzwolenie. Czarny charakter, oraz niezależnie, niezłomny strażnik; kuszą go, by uchylił tajemniczych dźwierzy, by choć jednym jękiem uwięziona rzuciła światło na pogrzebany z nią sekret; ale on nie naruszy straszliwych paktów, spisanych na cyrografie krwią serdeczną. Wreszcie nieoczekiwana, jak *deus ex machina*, skrucha czarnego charakteru. Wraca z powrotem, mnich leniwy i gnuśny, do celi benedyktyna. Zasiada do przerwanej pracy; uwieńczy pokutą schyłek żywota. Dostojna uwięziona wychodzi z podziemi, witana przez coraz liczniejsze rzesze spragnione jej widoku.

Ale mimo radości niepodobna nie zauważyć, że tak długie zamknięcie odbiło się nieco na obliczu wypuszczonej w świat. Pobladła, utraciła znaczną część tej jutrzenkowej świeżości, którąby olśniewała przed dwudziestu laty. I nie chodzi o wygląd zewnętrzny... Nie, raczej o to, że w ciągu dwudziesto - lecia nieustająca, choć cząstkowa akcja odkrywania Norwida, a nawet sporadyczne szczodrobliwości samego Miriama, od czasu do czasu rzucającego coś z posiadanych skarbów na odczepne publiczności — wszystko to sprawiło, że ta połowa blisko książki, któraby byłaby w owym czasie pierwodrukiem lub tak jak pierwodrukiem, gdy są to utwory wyciągnięte z zapomnianych roczników pism, dziś jest już znana przynajmniej dość szerokiemu kołu miłośników Norwida, a częściowo już spopularyzowana i udostępniona przez inne wydawnictwa...

...Dziwaczny podział to tematyczny, to znów podług gatunków literackich (gnomy, satyry, fraszki, fantazje, epika), jest na każdym kroku sporny, utrudnia wyszukanie utworu (czemu zaradza indeks, niezbyt staranny jednak, brak w nim *Do Pompejusza)*, a nadewszystko wyrobienie sobie pojęcia o ewolucji stylu poetyckiego, nawet o stanowisku poety w różnych sprawach: bo i tu, w miejsce obcego dowolnego podziału, układ chronologiczny, ukazujący koncentrację zainteresowań poety w różnych okresach twórczości, pomógłby nam najlepiej. Wreszcie przyjęty układ prowadzi do rozrywania organicznych całostek: tak w różnych działach podane są składowe djalogi *Promethidiona*, przekład ody Horacego oderwany jest od swego znakomitego *Postscriptum*, rozproszony został cały cykl *Vade mecum*. Słowem chaos.

Chaosowi temu odpowiada chaos obszernych przypisów, acz może tylko im posłużyło dwudziestoletnie „odczekanie". W nich bowiem komentarz estetyczny lub filozoficzny, przeważający jeszcze przy *Pismach zbiorowych*, często zbędny, lub przenoszący nas w odległe chimeryczne czasy, zamykający nas w obcym dziś dla nas kręgu pojęć (a pewnie obcym Norwidowi), ustąpił kroku, ścieśnił się stosunkowo wobec rozlanego tam całego morza erudycji biograficzno - bibljograficznej. żeby to było podane w jakimś sensownym ładzie — tworzyłoby poważną monografję poety...".

Zaznaczamy, że omówienie „Poezyj wybranych" ukaże się w jednym z najbliższych numerów „Zetu".

Historja a Prawo Postępu

VIII. Era celów względnych

W określeniu Wrońskiego Prawo Postępu „pochodzi z zastosowania Prawa Stworzenia do ślepego kierunku konieczności, t. zn. do urzeczywistniania się Przeznaczenia, aby służyło ono rozwojowi postępowemu ludzkości".

Rozwój ten w ciągu dziejów dokonuje się, jak już widzieliśmy, przez ewolucję warunków Ludzkości, t. j. przez taką ich uprawę, któraby wydobyła z istoty ludzkiej wszystkie jej nieskończone możliwości twórcze, aż do jej rozumowości i mocowładności absolutnej. Źródłem tych możliwości jest w Istocie ludzkiej, zawarta tam in abstracto, tożsamość pierwotna indywidualności i powszechności, tych elementów absolutnych naszej rzeczywistości, których hypostaza daje nam byt najwyższy i wiedzę najwyższą.

Jeżeli teraz przypomnimy sobie, że te najpierwsze Warunki Ludzkości rozszczepiają się z kolei na warunki duchowe i warunki fizyczne, jeżeli uznamy te trzy rodzaje warunków za *trzy elementy pierwotne Prawa Postępu* (Istota, Wolność i Przyroda ludzka), nietrudno będzie wywnioskować z natury tych elementów poszukiwany przez nas tryb ewolucji. Będzie on znowuż dwoisty, czyli da się rozłożyć na dwa różnorodne tryby: 1) architektonikę celów, umożliwiających przejście ludzkości od rzeczywistości względnej do absolutnej; 2) systemat narzędzi, albo sposobów, ułatwiających spełnienie ostateczne każdego z tych celów.

Dwa te tryby stanowią dwie części ustanowcze Prawa Stworzenia, pod nazwą TEORJI I TECHNJI. W pierwszej przeważa indywidualność bytu, w drugiej powszechność wiedzy; dlatego też w teorji biorą górę dwa elementy różnorodne, którerni są w rozwoju dziejowym ludzkości jej przeciwstawne warunki, duchowe i fizyczne; w Technji natomiast bierze górę sam element podstawowy, w którym utożsamiają się tamte obydwa rodzaje warunków. Znaczy to, że w Teorji Istota ludzka zachowuje się niejako biernie, będąc niczem więcej, jak polem gry wzajemnej i neutralizacji Przyrody i Wolności, jako tych elementów, z których ludzkość czerpie swoje powszechne cele; natomiast w Technji Istota ludzka wysuwa się na plan pierwszy, wywierając czynny i decydujący wpływ na kierunek postępu. Rozumie się samo przez się, że Konieczność ujawnia się przedewszystkiem w Teorji, zaś Wolność w Technji.

Aby te dwa tryby określić jeszcze dokładniej, należy dodać, że w pierwszym z nich Wolność ludzka ukazuje się nam w swoim stosunku do Przyrody, czyli warunków fizycznych; Wroński nazywa to autotezją, albo *samo-założeniem się*. W drugim trybie Wolność ta ukazuje się w stosunku do samej siebie, rozwijając całą swoją samorzutność i niezależność od bytu; jest to autogenja, albo *samo-stworzenie się*.

W „Tablicy genetycznej Prawa Postępu" tryby te — zdefinjowane są następująco:

„A) Teorja albo Autotezja; to co jest *dane* w konieczności dla ewolucji postępowej warunków ludzkości".

„B) Technja albo Autogenja; to co *należy uczynić* dla spełnienia tej ewolucji postępowej warunków ludzkości".

Właściwy bieg dziejów w czasie, wyznaczony przez trzy kolejne ery: celów fizycznych, celów przejściowych i celów absolutnych, przynależy do części teoretycznej postępu; dlatego poświęcimy jej tutaj specjalną uwagę. Część techniczna jest zespołem narzędzi, metod i postępowań, pełniących rolę pomocniczą w tym procesie. Zobaczymy później, że o ile w Teorji odbywa się wyodrębnienie i realizowanie różnorodnych celów, zarówno indywidualnych jak powszechnych, w dążeniu człowieka do maksimum rzeczywistości — o tyle w Technji idzie o powiązanie tej różności w jedność, przez coraz doskonalsze wcielanie w dziejach *idei związku* między istotami rozumnemi.

Okres, w którym ludzkość nie jest jeszcze zdolną do założenia innych celów, prócz zawartych w trzech swoich elementach, t. j. w Warunkach Ludzkości wogóle, oraz w warunkach duchowych i fizycznych, nie jest właściwie historją; można w nim dostrzec dopiero zaród, pierwociny dziejów. Treść życia zbiorowego ludzi jest wówczas jeszcze tak uboga, że trudno w niej odnaleźć coś więcej prócz zwykłej dążności samozachowawczej. Ludzkość nie zna jeszcze żadnych zadań zbiorowych, pobudzających do solidarnego działania i urzeczywistniających łączność teraźniejszości z przeszłością i z przyszłością. Dlatego niema tu ani narodów, ani historji, niema celów powszechnych przekazywanych z pokoleń na pokolenia; przechowuje się conajwyżej jakieś mgliste, fragmentaryczne podania i mity. Wiedza sprowadza się do dziedziczenia i naśladowania sposobów i narzędzi, wytworzonych przez instynkt samozachowawczy, dla utrzymania się przy życiu. Wyklucza to jakąkolwiek *twórczość wolną*, przekraczającą nakazy konieczności, narzucającej człowiekowi takie a nie inne warunki bytu. Panują więc w tym okresie wyłącznie *cele indywidualne*. Jest to beznadziejne kręcenie się wokół tych samych wciąż form bytu. Grupa społeczna powstaje tylko przez prokreację fizyczną, czyli przez pokrewieństwo rodowe. Są to więc CZASY TRADYCJI i RODÓW (Patryarchów).

Ale w samej troistej, elementarnej strukturze tego człowieczeństwa pierwotnego tkwi już możliwość innych, wyższych dążeń i celów. Łatwo to wyjaśnić przez następujące rozumowanie:

Jeżeli całą energję (nienasycenie rzeczywistością), założoną w Istocie ludzkiej, skierujemy ku warunkom fizycznym, czyli ku bezwładności naszego bytu, zapoznając istnienie w nas warunków duchowych, czyli samorzutności wiedzy — powstanie w nas przeświadczenie, że maksimum rzeczywistości osiągnąć możemy tylko przez doskonałe zaspokojenie wszystkich naszych potrzeb fizycznych, przez nasycenie zmysłowe naszego Nie - Ja, organizmu zwierzęcego (ciała). Niedaleko stąd do idei powszechnego *celu fizycznego*, jako ideału wszystkich ludzi, zaspokajającego naturalne ich pragnienie szczęścia i dobrobytu.

Jeżeli, przeciwnie, skierujemy całą energję naszej Istoty ludzkiej ku warunkom duchowym, czyli ku samorzutności naszej wiedzy, abstrahując od potrzeb bytu — ideałem naszym będzie zaspokojenie dążności umysłowej do *pewności*, t. zn. osiągnięcie maksimum rzeczywistości przez rozwój rozumu, naszego Ja ludzkiego (ducha). Możemy wówczas powziąć ideję powszechnego *celu hyper-fizycznego*, jako najwyższego zaspokojenia dążności wszystkich ludzi do potęgi ducha.

Te dwa cele powszechne, dające się wyprowadzić wprost z warunków fizycznych i duchowych ludzkości, możnaby nazwać celami *pozytywnemi*, lub bezpośredniemi, narzucają się bowiem naszej rozwadze same przez się. Odrazu widzimy też, że w pierwszym z nich idzie o indywidualność bytu, a w drugim o powszechność wiedzy. Są to więc cele zależne od elementarnej struktury człowieka, i aby je założyć, nie trzeba ich stwarzać przez akt samorzutny rozumu, gdyż są nam *dane*, jako względne do naszej rzeczywistości absolutnej. Element Wolności — jak to już zaznaczaliśmy niejednokrotnie — tkwi w tem, że to co *jest* w naturze ludzkiej, jako stworzone przez Boga, określamy świadomie, jako to co *być powinno* i czynimy je przez to przedmiotem naszej wolnej *woli*, celem naszych dążeń w skali powszechnej (obowiązującej wszystkich ludzi). W ten sposób zakładamy problemat przejścia od rzeczywistości danej do rzeczywistości poszukiwanej, co jest cechą Prawa Postępu.

Cel fizyczny, albo *zmysłowy*, jest tedy elementem: POWSZECHNYM BYTEM Prawa Postępu, zaś cel hyperfizyczny, albo *umysłowy*, elementem: POWSZECHNĄ WIEDZĄ Prawa Postępu. W pierwszym z nich idzie o dobrobyt *uczucia*, w drugim o dobrobyt *poznania*, tych dwu władz niższych naszego Ja, które powstają przez sparaliżowanie samorzutności stwórczej rozumu bezwładem warunków ziemskich, przestrzenno-czasowych.

Ale nie są to wszystkie cele, jakie powstają przez zastosowanie rozumu do elementów *danych* naszej natury, ustanowionych przez Prawo Stworzenia. Widzieliśmy bowiem, że te dwie dążności ludzkie, do dobrobytu uczucia i poznania, powstały przez kolejne złączenie całej Istoty ludzkiej, najpierw z Przyrodą (warunki fizyczne), a potem z Wolnością (warunki duchowe); dążności te mają więc w sobie pewien element wspólny, co, mimo ich przeciwstawności, każe im ciążyć ku sobie nawzajem.

I tak: w dążności zmysłowej zakłada się postulat przejścia do dążności umysłowej — i naodwrót. Innemi słowy, dzięki temu, że nienasycenie Istoty ludzkiej przejawia się i tu i tam z jednakową siłą, każdy z tych celów skłonny jest stać się funkcją drugiego, podporządkować mu się, dla wytworzenia wspólnego układu rzeczywistości, w którym obydwie potrzeby natury ludzkiej byłyby zarówno zaspokojone.

Aby racja takiego przejścia stała się całkowicie zrozumiała, trzeba przypomnieć, że istnieje konieczny *stan sporu* między naszą naturą fizyczną a duchową, między rozumem ludzkim, a ciałem zwierzęcem. Jest to mianowicie konflikt *moralny*, mający swe źródło w sprzeczności między indywidualnością, zasadą *oderwania*, tkwiącą w naszym bezwładnym bycie, a powszechnością, zasadą *związku*, tkwiącą w naszej samorzutnej wiedzy. Jeżeli chcemy zaspokoić indywidualnie swe potrzeby fizyczne, działamy na szkodę innych ludzi, bowiem zmysły nasze dążą egoistycznie do nasycania się ich kosztem. Buntuje się przeciw temu żyjąca w nas powszechność wiedzy, której potrzebą duchową jest łączność i solidarność z innymi. Poprostu: my, jako indywiduum chcemy czego innego, niż my, jako powszechność, czyli dwie elementarne zasady Istoty ludzkiej znajdują się w ustawicznej opozycji przeciw sobie, dopóki nie rozwiążemy problematu tej antynomji, dźwigając się do jakiejś rzeczywistości transcendentnej, w której te zasady przeciwstawne zostaną utożsamione (Unja Absolutna).

Powstają stąd w naturze ludzkiej, dwie nowe dążności, bardziej skomplikowane od poprzednich: 1) dążność do zaspokojenia potrzeb fizycznych *pod warunkiem ich zgodności z potrzebą duchową*, oraz 2) dążność do nasycenia powszechności wiedzy *pod warunkiem zachowania indywidualności bytu*.

Dążność pierwsza, gdy się ją uczyni środkiem Postępu, czyli powszechnym celem ludzkości, ukazuje nam się jako *cel moralny*, czyli organizowanie dobrobytu fizycznego pod gwarancją SPRAWIEDLIWOŚCI, zasady powszechnej, o charakterze abstrakcyjnym, ponadosobowym. Co do dążności drugiej, to ta ujęta w podobny sposób, będzie już *celem religijnym*, czyli poszukiwaniem dobrobytu duchowego pod gwarancją GODNOŚCI, zasady raczej indywidualnej, o charakterze konkretnym, osobowym.

Odrazu widać, że w celu moralnym chodzi przedewszystkiem o dobrobyt fizyczny na ziemi, byle był rozdzielony sprawiedliwie pomiędzy wszystkich ludzi, tak by dążenie indywiduów do nasycenia nie zmieniło się w walkę wszystkich przeciw wszystkim. Dlatego cel ten można określić dokładniej jako BEZPIECZEŃSTWO PUBLICZNE, system praw i urządzeń, gwarantujących ład *zewnętrzny*. Natomiast w celu religijnym chodzi o dobrobyt duchowy, przekraczający warunki ziemskie, o osiągnięcie rzeczywistości hyper-fizycznej zapomocą samorzutności i powszechności wiedzy; aby to nasycenie powszechnością nie prowadziło do zatraty indywidualności, stawia się tu postulat godności i świętości osobistej. Cel ten można więc określić jako MORALNOŚĆ PUBLICZNĄ, czyli system zasad etycznych, obowiązujących *wewnętrznie* każde Ja ludzkie.

Obydwa te cele, skoro uznamy je za powszechne cele ludzkości, stanowią warunek zewnętrzny i wewnętrzny tego, co zwiemy ładem moralnym. Pozwalają one urządzać dobrobyt fizyczny pod kątem samorzutności wiedzy, oraz dobrobyt duchowy pod kątem bezwładności bytu. Dzięki nim spór moralny między dwoma biegunami Istoty ludzkiej zostaje unormowany i wykorzystany dla dźwignięcia ludzkości do stanu zorganizowanego, będącego już fundamentem i punktem wyjścia dalszych wysiłków rozumu, dla przejścia od celów względnych do celów absolutnych.

Pierwszy z tych celów „funkcyjnych", albo *pośrednich*, będzie elementem: PRZEJŚCIOWYM BYTEM Prawa Postępu, drugi zaś elementem: PRZEJŚCIOWĄ WIEDZĄ Prawa Postępu. O ile poprzednie dwa cele posiadały charakter pozytywny, o tyle te mają raczej charakter negatywny, polegają bowiem na pewnem ograniczeniu bytu przez wiedzę i wiedzy przez byt, albo na zahamowaniu tamtych dwu dążności, zbyt odśrodkowych, przez ich *podporządkowanie wzajemne*.

Wszystkie cztery są celami powszechnemi, a zarazem *organicznemi* ludzkości, gdyż w przeciwieństwie do trzech elementarnych, indywidualnych warunków, które były tylko abstrakcyjnym zarodem przyszłego postępu, stanowią one już prawdziwy *organizm historji*, rzeczywistość konkretną. Są zadaniami zbiorowemi, które mogą być przekazywane z pokolenia na pokolenie i rozwiązywane kolektywnie, jednocząc wokół siebie całe grupy etniczne, narody, a wreszcie środowiska cywilizacyjne. Pod kątem tych zadań i celów, to co stworzyła przeszłość, jest już zrozumiałe dla teraźniejszości i może być nietylko złożone do ogólnego skarbca kultury, ale stać się odskocznią do dalszych wysiłków, wartością przechowywaną i pomnażaną. Zarówno urządzenia gospodarcze, stworzone dla dobrobytu uczucia, jak zdobycze nauki, dla rozszerzenia dobrobytu poznania, zarówno normy prawne, zapewniające bezpieczeństwo i sprawiedliwość, jak wreszcie dogmaty i nakazy religijne, rozwijające godność i moralność publiczną są dobrem ogółu i mogą być conajwyżej rewidowane i ulepszane, nigdy zaś zapominane czy odrzucane, o ile ludzkość nie ma powrócić do pierwotnego stanu barbarzyństwa.

Od kiedy człowiek zdołał wyjść poza bierny instynkt samozachowawczy i czynnie przeciwstawić swoje Ja przyrodzie, od kiedy wprowadził pewien element wolności do warunków narzuconych mu przez konieczność i wzbogacił zakres swoich czynności przez *celowość własną*, odtąd czasy Tradycji i Rodów zmieniły się w CZASY HISTORJI I LUDÓW. Ludzkość przerzuciła punkt ciężkości swych działań na cele ponadosobowe, ideje samorzutnego rozumu.

Poczęła ona ścigać te cele powszechne w kolejności takiej, jaka nasuwała się jej uwadze sama przez się, t. j. naprzód cele względne do swej natury *stworzonej* (zanim mogła dostrzec cele absolutne, zawarte w samej istocie *stwórczego* rozumu), oraz naprzód cele bliższe swoim warunkom fizycznym, aby od nich przejść ku duchowym.

Łatwo pojąć, że cztery cele, jakie określiliśmy już w tym artykule, z powodu ich bezpośredniej i pośredniej *daności w naturze ludzkiej*, są celami względnemi, a więc temi, które należą do architektoniki pierwszej z trzech er historycznych, ery Opatrzności. Równie oczywistem jest, że porządek następstwa tych celów w czasie będzie następujący: 1) cel zmysłowy (jako najbliższy warunkom fizycznym), 2) cel moralny (jako bliższy warunkom fizycznym, ale normowany już przez duchowe), 3) cel religijny (jako bliższy warunkom duchowym, ale normowany jeszcze przez fizyczne), 4) cel umysłowy (jako związany wyłącznie z warunkami duchowemi). Współcześnie moglibyśmy nazwać je również tak: 1) cel gospodarczy, 2) cel polityczny, 3) cel religijny, 4) cel naukowy. Zauważmy, że charakter tych celów wyznacza dość dokładnie te epoki historyczne, które znamy jako: Wschód starożytny, epoka klasyczna (grecko-rzymska), średniowiecze i Oświecenie. Aby jednak uniknąć nieporozumień i zarzutów (które zresztą wysuniemy i rozpatrzymy sami w *krytyce* Prawa Postępu), dodajemy odrazu, że nie należy pojmować zbyt jednostronnie tej supremacji poszczególnych celów; skoro bowiem wszystkie cztery ukryte są mocowładnie i równocześnie w danych bezpośrednich natury ludzkiej, nie jest możliwem wyłączne panowanie jednego tylko z pośród nich w jakiejś epoce historycznej. W każdej epoce pojawiają się one wszystkie naraz, z tem tylko zastrzeżeniem, że jeden z nich wysuwa się na czoło, podporządkowując sobie trzy inne i nadając w ten sposób ogólny „ton". Tak np. w średniowieczu spotykamy dążność do dobrobytu uczucia i poznania, zarówno, jak do bezpieczeństwa publicznego; ale te cele: gospodarczy, naukowy i polityczny, są wszystkie niejako zagłuszone przez cel religijny, który dominuje.

Aby teraz wytłómaczyć, w jaki sposób zakłada się możliwość dalszego postępu, czyli problemat przejścia od celów względnych do celów absolutnych, musimy powrócić do pierwszego schematu, nakreślonego w artykule: „Dwoisty rytm dziejów" i przypomnieć, że: 1) rozum dąży do rzeczywistości absolutnej po dwu równoległych drogach, ku Prawdzie i ku Dobru, 2) dążność ta wyraża się in concreto przez współistnienie dwu typów ludzkich, postępowego i zachowawczego (z przewagą poznania i uczucia). Zrozumiałem będzie, że dążność do Dobra przejawiła się głównie w pierwszym i trzecim okresie historycznym (cel zmysłowy i cel religijny), zaś dążność do Prawdy, w drugim i czwartym okresie (cel moralno-polityczny i cel umysłowy). Stąd też postępy w pierwszym i trzecim okresie zawdzięczamy w największej mierze grupie zachowawczej, skłonnej do dobrobytu *uczucia*, zaś postępy w drugim i czwartym okresie zawdzięczamy przedewszystkiem grupie postępowej, mającej na widoku dobrobyt *poznania*. Dlatego w tamtych dwu okresach górować będzie *religja*, w tych zaś *filozofja*, te dwa tryby najwyższe rozumu, w jego dążeniu do Dobra, indywidualności bytu, i do Prawdy, powszechności wiedzy.

Otóż z chwilą gdy wszystkie elementarne cele zostały już przez ludzkość wyczerpane i poznane w ich niedostateczności i względności, rozum znajduje się naraz jakby nad przepaścią, w groźnym impasie dziejowym. Pojmuje on bowiem, że ani jego dążność do rzeczywistości absolutnej nie została zaspokojona (bo ludzkość znajduje się wciąż w stanie niedoskonałości i nienasycenia), ani same te cele względne nie mogą być, na dotychczasowej płaszczyźnie, w pełni osiągnięte. W obliczu tej niepokojącej rzeczywistości, rozum uświadamia sobie konieczność oderwania się od tych celów, dotąd przezeń ściganych i dokonania skoku, ponad przepaścią względności, ku samej istocie Absolutu, aby w niej szukać rozwiązania odwiecznego problematu dziejów. Cała przeszłość i teraźniejszość historyczna, w swej osiągniętej już wysokości i komplikacji społecznej, staje się dlań odtąd już tylko *środkiem*, rzeczywistością daną, od której musi on przejść do rzeczywistości poszukiwanej. Tym nowym problematem rozumu będą oczywiście jego cele absolutne, czyli te, które ma on sobie sam *stworzyć*, w całkowitej niezależności od ziemskiej natury człowieka.

Era Opatrzności skończyła się. Teraz już nic nie jest dane. Zarazem jednak rozum dostrzega niepodobieństwo straszliwego skoku od ery względnej, wprost do tej transcendentnej, niewyobrażalnej ery absolutnej. Szuka tedy jakiegoś nowego pomostu, jakichś celów przejściowych, nie mających rzeczywistości w samych sobie, tylko w tej funkcji pomocniczej, prowizorycznie uzasadnionej.

I tu ratuje go sama struktura Prawa Stworzenia, dostarczająca dalszych środków postępu, już nie w elementach natury ludzkiej, ale w ich sztucznem połączeniu, możliwem oczywiście tylko pod kątem owej nowej, wyższej potrzeby rozumu, stanowiącej ich wiązadło *zewnętrzne*. Jakie to sa środki, zobaczymy w następnym artykule.

Jerzy Braun.

Zasada kształtowania formy w sztuce plastycznej

(Dokończenie)

Otóż, artyści, żyjący w odległej starożytności, posiadali bezsprzecznie bardzo wysokie poczucie rytmu ornamentalnego, skoro wytworzyli kompozycje, któremi zachwycają się artyści i krytycy — kompozycje, które dla teoretyka ornamentu stanowią dzisiaj materjał najbardziej miarodajny. Jeżeli zaś posiadali to poczucie, to nie mogli dążyć do bryłowatości, tak, jak nie może dążyć do niej współczesny dekorator. Znany mi jest przypadkowo fakt, że Wyspiański zniszczył i wyrzucił pod łóżko rysunek główki dziecka, ponieważ, jak się wyraził: „wypadł wypukło".

Płaskość jest więc istotną cechą formy zdobniczej, tak, jak bryłowatość jest istotną cechą formy obrazowej.

Z pośród dalszych przeciwieństw, charakteryzujących te dwie dziedziny, pragnę zwrócić jeszcze uwagę na jedną, która wydaje mi się bardzo znamienna i wymowna. Malarz sztalugowy, jak to starałem się wykazać, używa elementów formy, określonych przez geometrję, dekorator zaś, elementów, określonych przez materjał i technikę. Pierwszy znajduje więc punkt wyjścia w sobie samym, gdyż z wnętrza swego, jak wykazałem, czerpie owo poczucie geometryczne; drugi zaś znajduje punkt wyjścia w świecie zewnętrznym. Fakt ten łączy się, jak widzimy, bezpośrednio z podstawowem, niejako kierunkowem przeciwieństwem tych dwóch tendencyj artystycznych. Sprzeniewierzenie się temu naturalnemu porządkowi rzeczy prowadzi zawsze do form nieharmonijnych i nieistotnych. Jeżeli mianowicie malarz sztalugowy podkreśla pierwszoplanowe założenia techniczne, tak, że w obrazie charakter płótna, papieru, czy kredki odgrywa rolę dominującą, to wtedy sprzeniewierza się tendencjom obrazowym (przechyla się on w stronę sztuki dekoracyjnej, o ile równocześnie wprowadza bardziej płaskie ujęcie i bardziej rytmiczną budowę kompozycji; w przeciwnym razie popada w t. zw. „manierę"). Podobnie też dekorator, któryby w kilimie nie oparł kompozycji na tkackim splocie, w koronce — na węzłach klockowych, czy igłowych, zaś w snycerstwie — na kształcie zakroju wyciętego dłutem i t. p., ale próbował wyprowadzić ornament z elementów geometrycznych, popadnie niechybnie w martwotę i pustkę.

Przeciwieństwa scharakteryzowane powyżej wykazują jasno, że pomiędzy oboma wyróżnionemi dążnościami twórczości plastycznej istnieje rzeczywista i wszechstronna przeciwstawność. Chociaż ornament i obraz ująć się dadzą wspólnem określeniem, a mianowicie, jako synteza świata wewnętrznego ze światem zewnętrznym, to jednak w ramach tego określenia wykazują założenia sprzeczne. Jeżeli wyobrazimy sobie z jednej strony ścisły, niejako idealny ornament, a więc utwór silnie skrystalizowany, płaski, rytmiczny i złożony z elementów technicznego pochodzenia, a z drugiej strony obraz skrajnie impresjonistyczny, a więc utwór niepełny, wycięty niejako z przestrzeni i czasu, utwór a-rytmiczny,—jeżeli wyobrazimy sobie te dwa bieguny idealne, i linję pomiędzy nimi rozpiętą, to otrzymamy schemat, ilustrujący z pewnego aspektu całą skalę twórczości plastycznej. Schemat ten służyć nam może jednocześnie do scharakteryzowania dziejowej ewolucji sztuki plastycznej, z wyłączeniem jednak dwóch okresów, a mianowicie: najdawniejszych, znanych zabytków jaskiniowego malarstwa realistycznego, oraz współczesnych eksperymentów, które w skróceniu określić możemy nazwą: futuryzmu. Obydwa te zjawiska, niewątpliwie bardzo dziwne, nie mieszczą się bezpośrednio w nakreślonym powyżej schemacie kierunkowym i wymagają osobnego omówienia, które wykracza poza ramy obecnych rozważań. Pragnę jednak zaznaczyć, że i te zjawiska stają się zrozumiałe dopiero na tle przeprowadzonej powyżej analizy.

Aby je naprawdę uzasadnić, trzebaby jeszcze dotychczasowe uwagi dopełnić przez uwzględnienie innych czynników, warunkujących rozwój sztuki plastycznej, a przedewszystkiem przez uwzględnienie ewolucji samego człowieka. Takie rozszerzenie tematu odsłoniłoby oczywiście horyzonty nie dające się ogarnąć, ale tylko takie rozszerzenie zbliżyłoby nas do zrozumienia zarówno owej sztuki jaskiniowej, jak i sztuki współczesnej; a równocześnie zbliżyłoby nas do wszechstronnego, pełnego oświetlenia wszystkich innych epok kulturalnych. Każde bowiem rzeczywiste dzianie się przedstawia obraz bardzo złożony, i tylko w tej złożoności wyrażać się może w sposób naprawdę żywy. Schemat, który przedstawiłem w niniejszym szkicu, jest zaledwie jednym rzutem owej bogatej i pełnej rzeczywistości. Jest on sztywny i ubogi, ale właśnie dzięki temu przejrzysty i czytelny. Mam wrażenie, że właśnie taki uproszczony obraz może oddać poważne usługi ludziom, pragnącym się zorjentować w zawiłym procesie historycznym, w którym wypowiada się najjaśniej twórcza moc ludzkiej duszy.

Bez takiego przewodnika przedstawiają się dzieje sztuki w postaci szeregu nieoczekiwanych i niepowiązanych prawie manifestacyj, niby kalejdoskopowe mamidła. Im więcej zaś zgłębiamy poszczególne epoki, tem bardziej zawiły staje się obraz całości, tem trudniej przyjdzie nam w tej zmienności wyłowić sens i prawdę. Prawda bowiem historyczna, na równi z wszelką inną rzeczywistością nie tkwi w poszczególnych członach całości w poszczególnych okresach, ale w ich powiązaniu i wtedy dopiero się odsłania, gdy znajdziemy ową nić, na którą duch dziejów nawleka, niby paciorki poszczególne fakty. Dopiero gdy dotrzemy do schematu organizacyjnego dziejów, gdy go choć z jednego aspektu ujmiemy, dopiero wtedy możemy powtórzyć za Norwidem z pełnem przekonaniem:

Aż oto, że dzieje pozornie są zamęt,
Gdy w gruncie są: siła i ładność szeroka!

Karol Homolacs.

Odwrót Einsteina

Znany zwolennik teorji Einsteina, dr. Rudolf Laemmel, ogłasza w „Umschau" artykuł, w którym donosi, że Einstein poddał rewizji swoje poglądy kosmologiczne, sformułowane w roku 1917, a polegające na przypuszczeniu, że czterowymiarowe kontinuum przestrzenno-czasowe posiada pozytywną miarę krzywizny, zależną od skupienia materji w danym punkcie świata, czyli że wszechświat jest sferycznym i skończonym. Zaobserwowane przez astronomów amerykańskich zjawisko ucieczki mgławic spiralnych z prędkością aż do 35.000 km na sekundę, zachwiało dotychczasowemi poglądami Einsteina. W porozumieniu ze słynnym astronomem holenderskim, de Sitterem, doszedł Einstein do rezultatu, że wszystkie zaobserwowane zjawiska dadzą się pogodzić z hipotezą świata nieskończenie wielkiego i z geometrją Euklidesową. Odwrót Einsteina — pisze dr. Laemmel — przyjmą filozofowie z pewnem zadowoleniem. Odwrót ten nastąpił całkiem jawnie, wyłącznie pod wpływem rozważań fizykalnych i astronomicznych.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI

My a Słowiańszczyzna

W poprzednim „Świecie słowiańskim", wspominając o małem zainteresowaniu ruchem słowiańskim w Polsce, zapowiedzieliśmy, że w niedalekiej przyszłości rozważymy przyczyny tego zjawiska. Spełniamy tę obietnicę w niniejszym artykule.

Myliłby się, ktoby sądził, że w Polsce nie było nigdy zrozumienia dla tej idei. Wprost przeciwnie, właśnie u nas wybuchała ona spontanicznie z najgłębszych pokładów ducha poezji wieszczej, właśnie u nas znalazła niezłomne uzasadnienie historjozoficzne w filozofji Hoene-Wrońskiego, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Libelta i i. I gdyby kiedyś dźwignął się na ziemiach środkowej i wschodniej Europy potężny gmach Słowiańszczyzny zjednoczonej, nigdzie indziej nie mogłaby ona szukać podstaw spekulatywnych i wskazań praktycznych, jak właśnie w Polsce, w naszej myśli filozoficznej, gdzie całokształt przyszłej ideologji słowiańskiej jest już wypracowany niemal w najdrobniejszych szczegółach i czeka tylko na wcielenie go w życie.

Tem dziwniejszy jest fakt obojętności ogółu na to zagadnienie w Polsce współczesnej — i aby go wytłomaczyć, trzeba ukazać cały splot przyczyn i okoliczności niezwykle skomplikowanych.

Przyczyną najoczywistszą niepopularności tej idei w naszem społeczeństwie było ekscentryczne położenie Polski w stosunku do Rosji, która usiłowała zmonopolizować dla siebie problem słowiański, mieniąc się naturalną opiekunką i przewodniczką narodów słowiańskich, a jednocześnie uciskając w sposób bezwzględny i okrutny naród polski. W ogniu walki z najpotężniejszem państwem słowiańskiem, reprezentującem trzy czwarte wszystkich Słowian na świecie, trudno było entuzjazmować się koncepcją wszechsłowiańską. W rosyjskim panslawizmie widzieli zresztą Polacy zawsze grę nieszczerą, gdyż carat wykorzystywał ten ruch jako atut polityczny, w dążeniu do swoich egoistycznych, imperjalistycznych celów. Zresztą polska koncepcja federalna (Unje i Konfederacje) i zasada: „wolni z wolnymi, równi z równymi", pozostawała w sprzeczności z koncepcją słowiańską elity rosyjskiej, polegającą poprostu na zgładzeniu wszelkich nie-rosyjskich elementów Słowiańszczyzny i roztopieniu ich „w ruskiem morzu".

Dlatego dziś, choć dawna Rosja przestała istnieć, a na jej miejscu pojawił się nowy organizm polityczny, idei słowiańskiej obojętny (jeżeli nie wrogi) — uraz psychiczny nie zniknął i żyje w naszej świadomości narodowej w postaci nieokreślonej niechęci, zaprawionej nieufnością i lekceważeniem.

Na przełomie wieku XIX-go i XX-go fala pozytywizmu zmyła do reszty ślady panslawistycznych mrzonek. Ideę tę zaliczono do narkotyków niezdrowego romantyzmu politycznego i złożono do lamusa razem ze szczątkami historjozofji mesjanicznej „z epoki wieszczów". Pogarda dla tej wzniośle-wstydliwej przeszłości, gdzie się duch narodowy wszechludzko „bałamucił", stała się obowiązującym przesądem, poprostu kanonem towarzyskim, społecznym, naukowym i t. p. W tych warunkach ruch słowiański nie mógł się rozwijać na dawnem podłożu idealistycznem, a brak mu było podłoża praktyczno-realnego, takiego chociażby, jakie powstało dzisiaj gdy na gruzach dawnej konfiguracji politycznej, wyrósł szereg niepodległych państw słowiańskich, odgrywających coraz większą rolę w koncercie europejskim.

Dopiero po wojnie światowej, mogła tedy nastąpić zmiana w nastrojach ogółu, i rzeczywiście ruch słowiański zaczął u nas od paru lat kiełkować na nowo, nie z taką jednak siłą, jakby się należało spodziewać. I znowuż jak w czasach niewoli politycznej, tak i teraz, w Polsce odrodzonej, przyczyny słabości i niepopularności tego ruchu szukać trzeba głębiej, niżby się to na pierwszy rzut oka wydawało, a mianowicie: 1) w okupacji duchowej narodu polskiego przez elementy obce, obojętne jego tradycjom i ideałom historycznym; 2) w nieprzygotowaniu psychiki zbiorowej do nowej ery, w jaką wkroczyła Polska po odzyskaniu niepodległości i w absolutnem niezrozumieniu misji dziejowej, jaką los tej nowej Polsce wyznacza.

Mówiąc o okupacji duchowej, mamy przedewszystkiem na myśli jałowe skosmopolityzowanie literatury i spłycenie intelektu wniesione przez pisarzy pochodzenia żydowskiego grupujących się wokół „Wiadomości Literackich"; na szczęście okres supremacji tych żywiołów i ciążenia ku nim polskiej elity intelektualnej ma się już ku końcowi, dzięki akcji „Zetu", „Gazety Literackiej" i pokrewnych im prądów kulturalno-ideowych. Co do letargu psychiki narodowej, to sprawa ta przedstawia się znacznie gorzej; krótkowzroczność historjozoficzna zakrawa tu wprost na zdradę ideału dziejowego, bez którego nie może żyć i rozwijać się twórczo żaden naród, żadna kultura, żadna epoka. Dlatego Polska współczesna, którą sama logika dziejów umieściła na rozdrożu dwu er i dwu przeciwstawnych cywilizacyj, przed którą wyrastają cele dalekosiężne i zadania nadludzkie, wciąż jeszcze nie rozumie (z wyjątkiem nielicznych jednostek) swojej misji politycznej i cywilizacyjnej na Wschodzie Europy. Ponieważ idea federacji słowiańskiej i jej czynnego wpływu na kształtowanie się dalszych losów ludzkości, wiąże się organicznie z tą misją dziejową Polski współczesnej, rzecz prosta, że i ona pozostaje u nas wciąż jeszcze w sferze porywów mglistych i nieokreślonych, t. j. raczej w sferze uczucia niż rozumu i woli.

I oto błędne koło: niezrozumienie znaczenia historjozoficznego koncepcji wszechsłowiańskiej powoduje słabość, płytkość i frazeologiczność samego ruchu; a z kolei anemiczność i prymitywna mgławicowość ruchu budzi nieufność do niego w społeczeństwie polskiem, zwłaszcza w jego elicie intelektualnej. Krytycyzm współczesnego inteligenta polskiego, o jakiej takiej dyscyplinie myślowej, nie pozwala mu przyłączyć się do ludzi, których cała ideologja w tym zakresie wyraża się we wszechsłowiańskiem „kochajmy się". Dlatego spontaniczne wybuchy dobrych chęci gasną w atmosferze niezrozumienia i krytycznej ironji, a nawet są ośmieszane, tak mniej-więcej, jak ośmiesza się t. zw. „sztukę narodową", przeciwstawiającą nowoczesnym kierunkom w plastyce naiwny folklor i kiepsko malowanych ułanów. Własną sztukę zarówno jak własną doktrynę polityczną, stwarza się nie przez odrzucanie tych pozytywnych wartości, jakie dają inni, lecz przez przewyższenie i prześcignięcie, a więc przez *stworzenie wartości nowych*, nawskroś indywidualnych i niezastąpionych, dźwigających na wyższy szczebel duchowy całą kulturę ludzkości.

Wartości takie posiada Polska, posiada i Słowiańszczyzna, ale ogół nasz nie zdaje sobie z tego sprawy. Czyż można się dziwić, że nie widząc tych wartości, wątpi w samą możliwość odegrania przez Słowian twórczej i samodzielnej roli w procesie historycznym.

Słabość ruchu słowiańskiego w Polsce wynika stąd, że ruchowi temu *brak wyższej celowości, brak uzasadnienia historjozoficznego, brak podbudowy filozoficznej*. To co jest, sprowadza się do: 1) zwykłych studjów języko- i ludoznawczych, 2) uczuciowych wylewów sympatji, rozpłyniętych w ogólnikowej i nieokreślonej frazeologji, 3) słowianofilstwa urzędowego, istniejącego odniedawna, a nacechowanego sztywną i oficjalną sztucznością.

Są wprawdzie ludzie rozumni i pełni dobrej woli, którzy dość dużo zdziałali na tem polu, są poczynania zmierzające do konkretyzacji ideowej i praktycznej ruchu, były wreszcie zjazdy i kongresy, (głównie w płaszczyźnie zawodowej), które zrobiły wiele dla wzajemnego poznania się i zbliżenia kulturalnego, ale to wszystko jest raczej akcją przygotowawczą, powolnem użyźnianiem jałowej gleby pod posiew wielkiej zapładniającej idei. Czas najwyższy na drugi etap ruchu, etap koncentracji sił i zakładania podwalin rozumowych, pod przyszły gmach dziejowy, który stawiać będziemy w 3-cim etapie, w okresie Czynu.

Pierwszem zadaniem winno być dzisiaj dla nas *ideowe przewartościowanie ruchu*, podejście do niego od głębi, napełnienie go treścią historjozoficzną, tak aby dyletantyzm i nieokreśloną uczuciowość przeniknąć świadomą organizacją i podeprzeć rozumem. Może to nastąpić dopiero po oczyszczeniu problemu z frazeologji, łatwizn i zakłamań, i po dokonaniu twórczej syntezy myślowej wszystkich elementów, które się nań składają.

Prześwietlona nawskroś czujną myślą krytyczną mgławica koncepcji wszechsłowiańskiej powinna odnaleźć swój ośrodek, wykrystalizować się ideowo wzdłuż swych osi i zmienić się w precyzyjny systemat prawd i sił dziejowych, zdolnych do twórczego, celowego ruchu.

Przechodząc z metafory na język konkretny stwierdzamy, że idzie przedewszystkiem o rozbudzenie i wykrystalizowanie się *świadomości dziejowej Słowian*, o wytyczenie pionów moralnych, ideowych i politycznych, o dokładne rozpoznanie swych cech rasowych, zdolności i słabych stron, wogóle całokształtu swych możliwości historycznych. Idzie o trzeźwe określenie roli Słowiańszczyzny w obecnej przełomowej erze dziejów O stwierdzenie czem Zachód góruje nad nami, a czem z kolei my górujemy nad Zachodem, wnosząc nowe wartości do ogólnego skarbca kultury. O wyznaczenie naszego stosunku do rozpadającej się cywilizacji zachodnio-europejskiej i do przemian, dokonujących się na Wschodzie.

Abyśmy, zrozumiawszy odpowiedzialność swoją za dalszy rozwój świata cywilizowanego i wkraczając czynnie na arenę nowej ery, wiedzieli, co z wczorajszego dorobku ludzkości winniśmy zachować, co odrzucić — a wreszcie co, jako nasz własny udział w dziejach, zamierzyć i STWORZYĆ

65-lecie X. Fr. Szaldy

Prasa czechosłowacka obecnie poświęca wiele miejsca 65-leciu urodzin Fr. X. Szaldy, najwybitniejszego krytyka współczesnych Czech.

Szalda wszedł do literatury w zatęchłej atmosferze klasycyzmu z końcem minionego stulecia, oczyścił ją i zaznajomił piśmiennictwo czeskie z nowymi prądami i myślami wielkich estetyków Zachodu. Szalda zwany ojcem duchowym „Czeskiej Moderny" jest świetnym znawcą literatur zach.-europejskich, powieści społecznej i naturalizmu. Z tej znajomości powstały jego głębokie studja o Dantem, Szekspirze, Rousseau, Flaubercie, Zoli i inne.

W r. 1905 wydał „Boje o zitrzech" („Walki o jutro"), gdzie wyznaczył powszechne prawa twórczości artystycznej i określił jasno stosunek twórcy do dzieła. Dzieło to mimo, że pisał je dla współczesnych, drga dziś jeszcze po dwudziestu kilku latach żywą aktualnością. Tak np. „problem narodowościowy" w sztuce widzi Szalda tylko w stylu i sposobie wyrażania się artysty pewnej narodowości. „Boje o zitrzech" wywarły niemały wpływ i wzbogaciły współczesną twórczość Czech o nowe wartości.

W „Moderni Czeske Literaturze" wykłada szeroko filozofję dziejowego rozwoju piśmiennictwa czeskiego, dopełniając je drugiem dziełem „Dusze a dilo" — gdzie kosztem naturalizmu wywyższa romantyzm.

Z innych dzieł Szaldy znane są przepyszne sylwetki takich twórców jak Vrchlicky, Sladek, Jirasek, Hlawaczek i młodsi od nich Neruda, Bożena, Niemcowa, Sowa, Brzezina. Dla młodej generacji literackiej żywiącej wielki kult dla Rimbauda napisał studjum „Rimbaud Borzski rosztak" (Rimbaud włóczęga Boży), gdzie zanalizował żywot, dzieło i ich wzajemny stosunek.

Szalda jest niezwykle ruchliwy, — zdumiewa rozległością swych prac; wiecznie młody, kocha gorąco młodzież. Solidaryzuje się z każdym przejawem literackiego życia Czech, byle obfitowało ono w rzetelne i prawdziwe talenty. To ukochanie młodego pokolenia i jego dużych możliwości twórczych podyktowało Szaldzie trudny, ale zato wdzięczny i interesujący cykl studjów: „O nejmladszi poezji czeske", gdzie podejmuje ocenę najmłodszych poetów: Wolkera, Nezvala, Biebla, Seiferta, a nawet Halasa i Zawady.

W r. 1907 założył czasopismo „Novina" (potem „Czeske Kultura"), gdzie skupia najwybitniejsze pióra czeskie; w latach 1917 — 1924 gromadzi ponownie elitę literacką w miesięczniku „Kmen".

Ale Szalda jest nietylko krytykiem literackim. Interesuje go bowiem życie współczesne we wszystkich jego przejawach; jest bystrym obserwatorem dzisiejszości.

W „Zapisniku" znajdziemy jego studja o trwałej wartości i głębokie spostrzeżenia na czasie. Patrzy naokół i ocenia. Piórem swojem jak chirurg skalpelem ostrym tnie śmiało, czy to, gdy mówi o literaturze, czy to o zagadnieniach socjalnych i politycznych, czy wreszcie w swoich utworach powieściowych i dramatycznych.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Szalda przy tem wszystkiem uprawia z zamiłowaniem poezję; wydał on tom elegij „Drzewo boleści".

Prozą wydał „Život ironicky a jine powidki" i powieść „Loutky i dzielnice' boži" („Marjonetki i robotnicy Boży"). Próbował nawet formy dramatycznej jakby chcąc zadokumentować, że i ta dziedzina nie jest dlań obcą. Napisał tragedję „Zastępy" i komedję „Dziecię". Nie sposób przedstawić w krótkim artykule bogactwa Szaldowej twórczości. Można jednak i trzeba stwierdzić, że Szalda jest wielkim w całokształcie swych dzieł pisarzem, posiadającym wszystkie cechy wyjątkowości na firmamencie literatury czeskiej.

Szalda nie zamknął jeszcze swej działalności, ale pracuje otoczony powszechną czcią młodej generacji czeskiej literatury, która go uwielbia „dla jego wielkiego dzieła jako krytyka, dla jego gorącego kontaktu z życiem, to też młodzi lgną do niego i wierzą, że 65-lecie urodzin Szaldy jest tylko złożeniem mu hołdu należnego, a nie żadnym kamieniem granicznym jego twórczości".

Antoni Brosz.

JERZY WOLKER.

Pokora

Stanę się mniejszym i jeszcze mniejszym
Aż będę najmniejszym na całym świecie.

Nad ranem, na łące, w lecie
Po kwiatku wzniosę się najmniejszym,
Wyszepczę, gdy się połączę z nim:
„Chłopaczku bosy.
Niebo dłoń o ciebie oparło swą
Kropelką rosy, —
Aby nie upaść!" — —

ADOLF GAJDOSZ.

Gospodarz odchodzi

Cienie wieczorne, jak starozakonni prorocy
Otwierają swe modlitewniki,
Wody i wiatry przeczytały szelestem pisma pergaminy
O świętej nocy — — —

Ze wsi, wrzosowisk modrawe słupy dymu w górę się wzniosły,
Dwory zapachniały czerstwym bożym chlebem.
Zwierzęta wonne przeżuwające siano po pracy
Dyszą radością, wesołość rozdzwoniła się u żłobów w chlewie. —

Wieczór zasłonił zachód cieniem ołowianej chmury;
Brygada wesołkujących parobczaków przejeżdżała z hałasem przez lasy i doliny,
Zwożąc płody z łąk, pól, ogrodów i winnic. —

* * *

Pan kroczył smutny po uboczu w mrok Oliwnej Góry...

Tłumaczył z czeskiego Ludomir Rubach.

JAN CZAREK

Czeska ziemia

Nie nazwę ciebie ojczyzną, albowiem cię nienawidzę
za broń, którą odjęłaś umarłym i wparłaś w ręce moje.
Nie nazwę ciebie ojczyzną, ludziom twym — naród — nie powiem.
Jestem z tych biednych, którym świat cały — domem i niepokojem.

Ciężko, boleśnie i wolno za twoją miłością nadążam,
upajasz mnie krasą żywą swojego udręczenia,
podbijasz mnie mową twardą, oddaję ci się w cierpieniu,
a los twój nieodwracalny wieczyście nade mną ciąży.

Nie powiem na cię, ojczyzno, powiem ci: domie mój, ziemio!

O głosce „rz"

Podbiły mnie dwa słowa — korzeń i rzeka,
wieje z nich tęga siła życia i przyrody.
O, jędrności korzenia przeciętego, o, skrząca się wodo!
Oczarowały mnie dwa słowa — korzeń i rzeka.

Mocniejsze, bardziej zwarte są jeszcze — nurt i prąd.
Gra niemi muzyka wody prędkiej i umkliwej.
Jakże często hukam w przestrzeń radośnie: — nurt — prąd,
jak człowiek, który pojął fali treść śpiewną i żywą!

Lecz wszystko, com najbardziej ukochał, co mną jest niemal,
wcieliło się w jedyną głoskę, w szorstką wypowiedź „rz".
Smakuję ją gorzko w ustach. W żadnym słowniku jej niema,
nikt obcy jej nie wypowie.

Że jest w niej głoska „rz", miłuję twardą mą mowę!

Rozburzone gniazdo

W rękach Twych, Panie, spoczywało nasze jaskółcze gniazdo,
cień babuni umarłej przechadzał się po izbie od okna do okna,
jak jasny słup słońca.

Jakże dawno odeszłaś, babuniu, w place.
Zasnuły chmury dachów białe szczyty.
Umiera chałupa nasza — umiera domek nasz,
przekleństwem nieszczęść spowity.

W pościeli śmiertelnej leżysz, ojcze, oczy twe jątrzy zły gniew,
we snach do ciebie przychodzi pole, aby się użalić.
Odeszły wychudłe nasze krowy.
Za młynem łąka, którą nasz pot krwawym ziarnem zrosił i przepalił,
oddana młynarzowi.
Do cudzych rąk przechodzi dziedzictwo ojców.
Wsparty o jabłoń umarły dziaduś w ogrodzie płacze,
jakgdyby Bóg w ogrojcu.

Żywi i cali wróciliśmy z wojny,
klęknęliśmy na rodzinnym progu pospołu,
a jednak nikt nie przylgnął z nas
do dziedzictwa przodków u dębowego stołu!

Do rąk cudzych przechodzi chałupa nasza.
W zawiei zgubnej wnet nasz cichy domek utonie —
daremny płacz i krwawe łzy!
Oto już wicher zagłady szopami wionie,
z gnoiska wpośrodku podwórza dymi los okrutny i zły!

Przełożył Antoni Madej.

U poetów czeskich

Jan V. Sedlak, którego kilka wierszy podajemy niżej, jest nietylko poetą ale i wnikliwym krytykiem. W dorobku swoim ma trzy książki poetyckie i dwie krytyczne. Należy do Morawskiego Koła Literatów, którego siedzibą stałą jest Brno, a organem oficjalnym miesięcznik „Koło“. Sedlak przebywa w Pradze.

Drugi tomik poezyj jego p. t. „Boża danina“ wyszedł w r. 1929 nakładem tegoż Koła Literatów na Morawie. (Pierwszą książką poetycką Sedlaka były „Czekanky“).

„Boża danina“ dzieli się na dwie części. Pierwsza zamyka lirykę subjektywną o wyraźnej i głębokiej zadumie, — ma tytuł Krajobrazy. Część druga — to ballady i pieśni, wywodzące swój początek z bogatej i prostej twórczości ludu. Ballady i pieśni rytmiką, frazowaniem i budową przypominają do złudzenia poezję ludową.

Dość przytoczyć tu dwie próbki, by uznać, iż prostota ich sięga prymitywizmu piosenek ludowych.

Wodospad:

Wodospad, wodospad
na lodowej skale.
Co się raz złamało,
złamane jest stale.

lub

Trudny powrót:

Rękę bym rad podał
ale nie wiem komu,
tak bym rad powrócił,
jak dziecię do domu.

W ton liryki ludowej wpadają krótkie ośmiowierszowe piosenki, natomiast ballady oddają typ epiki ludowej. Prymitywizm wierszy Sedlaka wypływa z najgłębszych pokładów jego duszy. W małym światku poezji ludowej znalazł poeta doskonały odpowiednik dla swych uczuć prostych, szczerych i ludzkich. Nie trzeba w „Bożej daninie“ szukać haseł wielkich. To, co tu spotykamy, dzieje się na wąskiej ścieżynie życia, u krańca której widnieje wyniosły cień krzyża. Krzyż, zdobiący i okładkę książki, surowy a prosty jest niejako kluczem do tych sekretnych i cichych zwierzeń, przypominających niekiedy „Mój świat“ Kasprowicza.

Trzecią książką poetycką Sedlaka jest mały, ale ogromnie pieczołowicie i po bibljofilsku wydany zeszyt poezyj p. t. „Moje góry“, poświęcony nieśmiertelnemu pięknu Beskidu Zachodniego. Książkę poprzedza przedmowa Zegadłowicza. Mówi w niej Zegadłowicz o prostocie wierszy Sedlaka, o czarującym błękicie, jakim są nasycone „Moje góry“, o mocnym oddechu przyrody, wiejącym z ich kart, o artyzmie i obrazowaniu poety.

I istotnie „Moje góry“ to niewielki wprawdzie, ale rzetelny wkład do współczesnej poezji czeskiej. Przyjęte zostały przez krytykę czeską bardzo przychylnie.

„Moje góry“ drzeworytami ozdobił znany artysta Ferdisz Dusza. Wyszły one nakładem Morawskiego Koła Literatów w Brnie w 1931 r., jako czwarty tomik wydawnictwa „Studanka“ (Studzienka), które redaguje Bedrzich Benesz Buchlowan.

Osobny rozdział twórczości Sedlaka — to jego praca krytyczna. Przedstawia się ona zajmująco. Pierwsza krytyczna książka „O problemach poetyckiego rytmu“ ukazała się w r. 1929 między pracami naukowemi uniwersytetu w Pradze, jako XXII tom wydawnictw wydziału filozoficznego.

„O problemach poetyckiego rytmu“ jest książką napisaną z dużą pracowitością i wnikliwością. Wcale nie jest to krótka rozprawa, ale rozpatrująca wszechstronnie zagadnienie rytmu praca dyplomowa o 170 str. formatu ósemki.

Książka „O problemach poetyckiego rytmu“ nie znajduje w literaturze polskiej równego sobie odpowiednika. Do pewnego tylko stopnia przypomina prace Wójcickiego i Łosja.

Dla poety najciekawszą partją tej książki jest najobszerniejsza część druga, poświęcona rozważaniom nad rytmem słownym, ilustrowana licznemi przykładami z poezji czeskiej.

W r. 1931 wydał Sedlak w Pradze dzieło p. t. „Petr Bezrucz“ — studjum osobowości twórczej tego poety. Sedlak do zagadnienia twórcy i twórczości podchodzi inaczej niż dotychczasowi krytycy. Chciałby uchwycić, ująć i rozpatrzyć nie to, co jest widoczne i dla rozumu dostępne, jak akcja, treść, forma, język, faktura utworu, ale to, co wymyka się naszemu ujmowaniu poznawczemu — dziedzinę irracjonalną. Sedlak świadom jest trudności podjętego zadania, nie mniej jednak analiza twórczości Bezrucza, jaką w wymienionem dziele przeprowadza, świadczy, że umiał wiele nowych i ciekawych rzeczy na temat tego autora powiedzieć.

Stanowisko krytyczne Sedlaka, metoda jego pracy wywołała żywą dyskusję. Autor pisze tak do mnie w tej sprawie:

„Książka o Bezruczowi wywołała metodą swej pracy wiele rozgłosu i zastrzeżeń. Było w tych polemikach wiele osobistych wycieczek, jak to zwykle, niestety, w takich wypadkach ma miejsce. Trzeba było się bronić.

Spory na temat książki ciągle jeszcze nie ucichają. Nie będę już jednak do nich powracał. Wypowiedziałem swe zasadnicze stanowisko i na tem myślę poprzestać. Cały spór właściwie o to się toczy — do jakiego stopnia i miary w wykładzie poetyckiego dzieła brać może udział metodyczny, naukowo - twórczy psychologizm. Występuję przeciw temu, by z dzieła artysty wydzielać poetycką osobowość twórcy. Wbrew temu, co twierdzą moi zbyt formalistyczni oponenci, uważam, iż przy rozpatrywaniu poetyckiego dzieła trzeba brać pod uwagę nietylko objektywne dane, ale trzeba także wyłożyć i rozpatrzyć stosunek dzieła do osobowości poety, do jego „ja“ duchowego, wreszcie do jego indywidualnego i tw[illegible]owego dla każdego twórcy przeżywania

Jan Czarek jest młodym, południowoczeskim poetą o typowej postawie duchowej twórcy regjonalnego, który swój szczupły odcinek kraju, gdzie na świat przyszedł, umiłował ponad wszystko. Nie znaczy to jednak, by poezji Czarka był obcy pierwiastek ogólnoludzki.

Tematycznie poezja Czarka obraca się w kręgu jego rodzinnych stron, jego wioski, jego dziedzictwa i ojcowizny.

Czarek wydał dotychczas cztery zbiory wierszy: „Wojna“ — 1920 r., „Biedna rodzina z Herzmania“ — 1924 (drugie wydanie 1925 r.), „Ciemno w chałupach“ — 1926 r. i „Smutny żywot“ — 1928 r. Dwie ostatnie ukazały się nakładem wydawnictwa „Sever a vychod“ („Północ i wschód“).

Jak z samych tytułów widać, mają one ścisłą łączność z wsią. Wyrosły one z podłoża głębokiej miłości i przywiązania do ziemi. W wierszach, zawartych w trzech ostatnich tomach, opiewa Czarek twardy, ciężki trud rolnika, związane z nim wszelkie troski, biedy, upadki i wzloty myśli i serca. Wieczysty kołowrót pór roku wplątany w krajobraz sielski, piękno i prostota życia rolnika, a zarazem nieprzewidziane ciosy i nieszczęścia, jakie zdarzają się ludziom ziemi, znalazły w Czarku doskonałego i oddanego piewcę.

Jako syn chłopa i kość z kości dziedzic ubogiej chałupy dziadów-rolników, Czarek oryginalnie i wnikliwie umie ująć w szatę słów przeżycia ludzi prostych.

Poezja Czarka nie jest poezją na zadany temat, łączy się ściśle z postawą duchową poety, z całokształtem jego struktury psychicznej.

Podaliśmy wyżej kilka dłuższych utworów Czarka, które, jak sądzimy, pozwolą bodaj w najogólniejszym zarysie ująć sylwetkę twórczą tego naprawdę ciekawego i utalentowanego poety. Z książek Czarka wieje smutek rzeczy dokonanych, smutek przemijania, zaduma pól i łąk, zbożność pracy cierpliwej rolnika, rysuje się w nich dokładnie twardość i chropawość życia ludzi ziemi, zaznacza jędrność i trwałość ich bytowania.

Antoni Madej.

JAN V. SEDLAK

Struna

Ja wiem, że jestem struną tylko,
która współdźwięczy w rytm
wszechświata,
w której materja i duch razem
wiecznością huczy i kołata.

Ja wiem, że jestem struną tylko,
co drga pod czyimś uderzeniem,
lecz kto ją napiął, kto nią targa? —
To — Niezbadane, to — cierpienie!

Pieśń

Jesteś jak morze,
co wiecznością huczy,
chłoszcze i pieści
i wiatrami tłucze.

Jesteś jak morze,
co wiecznością szumi,
lecz biada temu,
kto Cię nie zrozumie.

Przełożył Antoni Madej.

Kronika

Czterdziesty piąty numer dziennika „Słowak“, wychodzącego w Bratisławie, przynosi obszerną recenzję Nr. 22 naszego pisma p. t. „Literacki ruch słowiański w Polsce“, w której z uznaniem została podkreślona inicjatywa „Zetu“ zaznajamiania społeczeństwa polskiego z słowiańskiem życiem kulturalnem.

Z zadowoleniem podkreślono, że słowacką poezją rozpoczęliśmy cykl kolumn „Świat słowiański“.

*

Nr. 6 słowackiego miesięcznika „Elan“, przynosi art. p. t. „Słowacja jako kulturalny most z Polską“, w którym autor ukrywający się pod inicjałami (adr.) wyraża pogląd, że w dziele zbliżenia między Polską a Czechosłowacją doniosłą rolę winni odegrać Słowacy, którzy językowo, duchowo i religijnie bliżsi są Polakom od Czechów i winni stanowić z tej racji potężny czynnik porozumienia i poznania wzajemnego bratnich społeczeństw.

*

Literatura słowacka została wzbogacona nowym tomem poezji Kowalika-Ustiańskiego p. t. „Ballady — Świat — Naród“, w którym autor w klasycznych rymach przeciwstawia się jazzbandowej hypermodernizacji.

Z głębokiem wzruszeniem przeżywa poeta biedę dzisiejszego świata, aby dojść do idealnego i doskonałego zrozumienia drogi, wiodącej z kłamstwa współczesnego życia tam, gdzie człowiek staje się... „Panem całym nad stworzeniem“.

Prócz tej książki w roku bieżącym ukazały się następujące wydawnictwa słowackie:

Przewodnik po dziejach literatury słowackiej Dobrosława Chrobaka, obejmujący już prace autorów najmłodszych i mało znanych, Jana Palki: „Zapiski“, opowiadające o twardej doli mężczyzny, który pracując jako zwykły robotnik fabryczny studjował literaturę, bacznie obserwował zdarzenia świata otaczającego, specjalnie wypadki roku 1919, kiedy to elementy wywrotowe starały się wywołać rewolucję bolszewicką w Czechosłowacji. Książka ta nie chce być dziełem literackim. Pisał ją człowiek prosty, ale świadczy ona o żywotności młodej rasy słowackiej, w której ludzie nieznani umieją czuć, myśleć i obserwować, no... i pisać...

Doskonała literatka słowacka Zuzka Zguriszka wydała drugą książkę opowiadań, z życia ludu, pełnych zdrowego humoru p. t. „Dwanaście do tuzina“.

Prócz tej pracy, wydała już Zuzka Zguriszka tom feljetonów „Hiszpańskie widoki“ i tom opowiadań „Obrazki z Kopanic“...

Pozatem ukazały się książki czeskie Jarosława Durycha „Ognie w mglach“ w trzeciem wydaniu, Egona Hronskego „Stracony cień“ powieść, Franciszka Getza „Padające gwiazdy“ — powieść, Franciszka Halasa „Wiersze“, Jana Czepa „Letnice“ i ministra spraw zagranicznych Edwarda Benesza „Demokratyczna armja, pacyfizm i zagraniczna polityka“.

*

Od dłuższego czasu przebywa w Warszawie na studjach z zakresu literatury polskiej, młody, utalentowany poeta słowacki Stanisław Mecziar, autor pracy „Tatry w poezji polskiej i słowackiej“, tłumacz i propagator poezji polskiej.

Popularna analiza poglądu fizykalnego

V.

Wbrew twierdzeniu czystego psychologizmu twierdzę, że jakości wyznaczają coś realnego w przestrzeni, a mianowicie Istnienia Poszczególne jako takie, lub też zbiorowiska takowych, bardzo małych, stanowiących to, co nazywamy materją martwą („grubą“) i na czego wzór i podobieństwo budujemy potem materję fizyczną (materję poglądu fizykalnego), materję „fajną“, którą staramy się pierwszą (y compris nasze ciała) objaśnić, czyli ją do tej drugiej pojęciowo sprowadzić. Oczywiście z naszemi ciałami udaje się to nam jedynie „w granicy“ i inaczej być nie może, bo nie tylko n. p. widzenie czerwonego koloru jest czemś jako fakt psychiczny bezpośrednio dany, do ruchów bezjakościowych (w granicy również) rozciągłości (elektronów, paczek falowych) niesprowadzalnem, ale w innym rzędzie niesprowadzalności coprawda — niesprowadzalnem jest do takich ruchów (zdeterminowanych, czy tylko w przybliżeniu na tle statystycznem określanych — to wszystko jedno) również funkcjonowanie najprostszej „materji żywej“, najprostszego żywego stworu. Nie do pomyślenia jest aby mechanizm zaczął nagle czuć, wykonywać dowolne ruchy, rosnąć i mnożyć się, aby nagle przeskoczył do wymiaru świadomości. A jednak iluż jest ludzi, którzy nie przemyślawszy do dna problemu psychofizycznego, są przekonani, że jakimś cudem jest to możliwem. I tak myślą ludzie obkuci w fizyce i matematyce i wierzący równocześnie w jakieś zaświaty teozoficzne, plany astralne i mentalne i djabli wiedzą jakie. Problem nie jest prosty; ale psychologizmu wieczną będzie zasługą to, że dowiódł jednego przynajmniej niezbicie: to jest sprowadzalności poglądu fizykalnego do swoich pojęć—niekompletnych jeszcze, ale narazie mniejsza o to.

Wróćmy narazie do owego „wyznaczania“, którego nie lubią umysły znarowione do krańcowego idealizmu. Moją własną rękę mam daną dwojako: 1) wzrokowo, jak inne przedmioty oddalone i 2) wewnętrznie, jako układ („rozpołożenie“) jakości wewnętrznego dotyku (czuć muskularnych = zaznaczonych ruchów) (angezeigte Bewegungen) i czuć organów wewnętrznych). To drugie jest to istnienie tej ręki samej dla siebie, jako części całego mojego ciała, które samo dla siebie istnieje jako moje właśnie ciało, bez względu na to, czy dla kogoś innego jest ono kompleksem jakości w jego trwaniu (czyli w tym wypadku zewnętrznym przedmiotem) czy nie. W stosunku do innych przedmiotów idealiści zajmują według mnie stanowisko bardzo lekkomyślne. Ręka może istnieje sama dla siebie, ale n. p. pudełko już nie: ono może być tylko pewnym rodzajem złudzenia, na mocy jakiegoś tajemniczego „przyporządkowania“, który to termin zostaje uznany za pierwotny i nie podlegający definicji: coś w rodzaju „harmonji przedustanowionej“ Leibnitza, który musiał ją przyjąć, aby wytłomaczyć związek monad zupełnie według niego wzajemnie nieprzenikalnych i nie mogących z tego powodu wzajemnie na siebie oddziaływać. Pominęszał tu Leibnitz nieprzenikalność trwań samych dla siebie Istnień Poszczególnych z niemożnością wzajemnych odziaływań na siebie ich rozciągłości (ciał) — „ciał“ wyrażalnych zresztą jako względnie stałe kompleksy specjalnych przestrzennych jakości w tychże trwaniach, stanowiących w bezpośredniem przeżywaniu absolutne z temi trwaniami jedności, t. zn. ewentualnie czasem nawet, jako specjalne kompleksy nie-wyodrębnialne. Gdyby monady przyjęte były jako nierozdzielnie przestrzenno-czasowe, możnaby właśnie przyjąć działania ich rozciągłości, z czego statystycznie powstałyby prawa fizyki i zbytecznem byłoby przyjmowanie niepojętej w żadnej interpretacji (chyba jako wola Wyższej Istoty) „harmonji przedustanowionej“. My musimy — stojąc na stanowisku realistycznem, jedynie według mnie godnem uzasadnienia[1]) — przyjąć, że jakości wyznaczają zawsze coś realnego, nawet w halucynacjach; wtedy realnym ich odpowiednikiem jest zmiana w centralnym systemie danego osobnika, interpretowana w ramach systemu bijologicznego materjalizmu, czy też fizykalizmu — to narazie obojętne.

A więc, przyjmując sprowadzalność fizyki do jakości (czy „przeżyć“ jeśli kto chce, czyli kompleksów tych jakości)[2]), czyli sprowadzalność poglądu fizykalnego do psychologistycznego, co zdaje się być od Macha aż po nasze czasy prawdą, którą coraz więcej ludzi czystej nauki (nie tylko potrzykroć nieszczęsnej filozofji) uznaje (między innymi sam Heisenberg, jeden z filarów najnowszej indeterministycznej fizyki, według cytaty z jego przemówienia, zawartej w książce Franka „Kausalgesetz und seine Grenzen“[3]), musimy odrazu widzieć całą paradoksalność twierdzeń o adekwatności opisu świata w fizykalnym poglądzie. Ale trzeba dobrze to zrozumieć— inaczej odwieczne nieporozumienie trwać będzie dalej, ku uciesze intelektualnej gawiedzi, która jednak oczywiście będzie wolała naiwnie pogląd fizykalny, na tle jego eksperymentalnej sprawdzalności, powagi matematycznej, koincydencji i spotkań w różnych dziedzinach, a nadewszystko technicznej wydajności. I wszystko to ma niezaprzeczoną rację bytu i nikt inteligentny temu przeczyć nie myśli, byle tylko nie implikowało to deprecjonowania innych dziedzin myśli, których zadaniem jest właśnie ugruntować pojęciowo pogląd fizykalny w jeszcze szerszym ogólno-ontologicznym poglądzie na świat w całości, a nie na jego fizykalny wycinek — nie w znaczeniu części tylko „momentu“ w sferze pojmowania, chociaż można ten wycinek nawet w pewnym sensie przestrzennie interpretować, jako sumę „materji martwej“ w przeciwieństwie do sumy „materji żywej“. Wmyślmy się w ten cały niedozwolony według mnie i chyba każdego, kto go pojął, proceder: oto wybieramy z całości tych jakości (lub tych „przeżyć“) — — lides invariables“ Poincarégo), następnie na podstawie ich właściwości (nieprzenikliwości, ciężaru, *bezwładności*, t. j. niemożności wykonania ruchu *bez przyczyny* (w poglądzie życiowym) i niezmienności wzajemnej części ich, bez względu na zmianę położenia w przestrzeni, czyli ruchu, który wykonywują), właściwości sprowadzalnych w zupełności do związków następstw jakości (dotyków, barw, kształtów i związanych z niemi dodatkowo dźwięków) tworzymy w wyobraźni systemy rozciągłości hypotetyczne: fikcyjne, przybliżone, lub odpowiadające w pewnym sensie rzeczywistościom w przestrzeni, mającym tę samą rzeczywistość co n. p. system planetarny, słońce, czy systemy gwiezdne (do problemu rzeczywistości elementów „materji fajnej“ powrócę oddzielnie na innem miejscu), sprowadzalne do aktualnych, lub możliwych następstw jakości, przyczem przyjmujemy właśnie, że jakości te wyznaczają, wbrew idealistom, *coś rzeczywistego*. Czem jest to coś rzeczywistego, jakie pojęcie rzeczywistości będzie miało sens w zastosowaniu do tego czegoś, narazie nie potrzebujemy się zajmować. Czy rzeczywistość[4]) ta będzie tego samego gatunku, co rzeczywistość naszych (to znaczy w naszej rzeczywistej przestrzeni znajdujących się) przedmiotów martwych, czy też będziemy musieli nadać tym hypotetycznym z początku „cząsteczkom“, czy też raczej ich zbiorowiskom, stopień rzeczywistości, który przypisujemy naszym ciałom, jest narazie obojętne — ciało jako takie nie powinno wchodzić obecnie w nasze rozważania. Odrzućmy kwestję rzeczywistości — czy „małe rozciągłości w ruchu“ fizyka są matematycznemi fikcjami, czy też przysługuje im realność taka, jaka cechuje stół, na którym piszę, narówni pewno ze słońcem, Aldebaranem, czy Antaresem, wszystko jedno: niemożna przy ich pomocy wyjaśnić świata, w którym istnieją wrażenia zmysłowe (czucia, jakości — Cornelius, elementy — Mach). Ale trudno gadać z człowiekiem, który nie rozumie różnicy między widzeniem n. p. czerwonego koloru, a jakiemś drganiem z szybkością iluś tam biljonów czegoś tam — wszystko jedno czego — w każdym razie jakichś rozciągłości w ruchu, (które dla przeżywania bezpośredniego mogą być tylko dane (wyznaczone) przez jakości bardziej—przestrzenne (dotyki, barwy w kształtach)), bo bez tego pojęcia: stałej w pewnych granicach rozciągłości, niema fizyki. Zakładamy najpierw najwyraźniej w świecie, że żywego stworu z jego czuciami niepletnie, wychodząc już nie z punktu widzenia jakości, tylko z pojęć oznaczających ich prawidłowe związki, z pojęcia przedmiotu wogóle. Przedmiot (w znaczeniu ściślejszem oczywiście, t. zn. to, co nazywamy normalnie przedmiotem materjalnym) już w koncepcji życiowego poglądu jako taki, wiedzie niezależny od obserwatora żywot: naiwny człowiek wierzy, że gdy wychodzi z pokoju, wszystko trwa w pokoju tym tak, jak gdyby on sobie na to dalej patrzał; cóż dopiero mówić o pojęciach cząsteczki, atomu, elektronu, paczki falowej, a z drugiej strony o pojęciu siły, energji, energji promienistej, a cóż dopiero o syntezie rozciągłości z tem wielkiem X (energją), które trzeba jednak założyć, syntezie, o której, w swej dążności do ujednolicenia wszystkiego, marzy fizyka i z pewnością to marzenie spełni: to są utwory, w których cienia niema z ich genezy, z pochodzenia od prawa prawidłowego związku jakości, od przedmiotu materjalnego naszego codziennego życia — istności te wstydzą się swojej genealogji; w wysokich sferach matematycznej abstrakcji nie wypada wspominać o swojem nędznem pochodzeniu od życiowych przedmiotów: fizykalna „Hochadel“, doprowadzona niemal do ostateczności doskonałości przez p. de Broglie et Comp. (Schrödinger, Heisenberg i inne demony fizykalnej abstrakcji) niechce się przyznać, że za pierwowzora kształtu naszej psychiki te jakości i ich kompleksy, które nazywamy przedmiotami martwemi stałemi i niezmiennemi („sojej może być uważany stół, na którym wspomniany demoniczny francuski książę stworzył pierwszy, zdaje się, swoje czarodziejskie koncepcje, dające się jedynie zlekka obmacywać powierzchownie matematycznemu laikowi, czy pół-laikowi (autor), ale nigdy nie mogące należeć doń całkowicie. Jednak, aby zrozumieć zasadnicze problemy fizyki, aby zdać sobie sprawę z jej istoty, wystarczy niezmiernie stosunkowo mało matematyki — mówię „stosunkowo“ w stosunku właśnie do olbrzymiości i komplikacji matematycznego gmachu i trudności zrozumienia jego podstawowych elementarnych pojęć i koncepcji. W ostatecznej sublimacji pojęć fizycznych jest jeszcze mniej związku ze światem jakości, niż z pierwszemi pojęciami przybliżonemi: cząstki materjalnej i siły — te ostatnie to były jeszcze „sensibilja“ w znaczeniu Russella[5]): dla jakichś super-liliputów, zrobionych z „materji wyższego rzędu“, w której elektrony to były nasze gwiazdy i planety. Dzisiejsze t. zw. „cząsteczki“ stały się mitem: wyobraźnia w stosunku do nich jest nieomal zabroniona — one są tylko czemś, co się podstawia jako pewne wielkości matematyczne w pewne wyrażenia, które są prawami działania się fizykalnego w niedoścignionych nam w wyobraźni wymiarach małości.

S. I. Witkiewicz.

———

1) Jak tanie są dla mnie te wszystkie pół-idealistyczne koncepcje między solipsyzmem, a realizmem. Rozumiem jeszcze pełny, konsekwentny solipsyzm ale nie te sztuczne połowicznostki, połączone z nielitościwą deformacją rzeczywistości.

2) Odkładam do osobnego artykułu rozważania na temat stosunku jakości do „przeżyć“ i sprowadzalności pojęciowej tych ostatnich do jakości, czyli kwestję stosunku rzeczywistości (materjału) psychologicznej do psychologji i do tego, co musimy przyjąć za ostatnie elementy Istnienia.

3) *Książce, którą gorąco polecam naszym* fizykoidom, dla pogłębienia ich własnych poglądów od naiwnego eksperymentalizmu i materjalizmu w kierunku psychologistycznego pozytywizmu — to jeszcze bowiem można wytrzymać — można z takim panem wogóle mówić.

4) Rzeczywistością — i to jedną — są według mnie Istnienia Poszczególne(stwory żywe) i jakości w ich trwaniach. W tem znaczeniu rzeczywistemi są i dla nas przedmioty, z jakości tych się składające. Cała rzecz w tem, że musimy przyjąć dwa odrębne rodzaje jakości: a) składające, czy wyznaczające, nasze ciała i b) składające „inne“ przedmioty. To nawet Mach uwzględniał.

5) Czyli coś, co pod pewnemi warunkami mogłoby być przedmiotem naszych czuć, czyli ściślej być dla nas w postaci związków jakości w naszem trwaniu.

Varia

„Ryngraf“, grupa artystyczna, działająca na terenie Łodzi, urządziła szereg wieczorów dyskusyjnych, obecnie zaś organizuje Towarzystwo dla szerzenia i rozwoju polskiej kultury.

Jubileusz prof. J. Benesicza odbył się w Muzeum Pedagogicznem. Jest to 50-lecie urodzin zasłużonego tłumacza literatury polskiej, który przełożył na język serbski 17 dzieł beletrystycznych i 35 utworów scenicznych polskich.

Odczyt o Kasprowiczu w Rzymie wygłosił prof. Lo Gatto w lokalu tamtejszej Akademji Umiejętności. Odczyt nosił tytuł: „Element patrjotyczny w prometeiźmie Kasprowicza“.

Wystawę krakowskiej grupy „Zwornik“ urządzono w Poznaniu. Brali w niej udział Jad. Hoffmanówna ,Eug. Geppert, Zygm. Król, Kasper Pochwalski, Rzepiński Czesław, Adam Gerżabek i inni (sala Mąkowskiego).

W galerji Vignon w Paryżu odbyła się wystawa prac Józefa Czapskiego — życzliwie przyjęta przez krytykę francuską.

Marinetti w Polsce. Słynny wódz futurystów przybył do Warszawy 7 bm., gdzie wygłosił dwa odczyty: jeden „L'Italie d'aujourdhui et le futurisme mondial: Poesie, roman et theatre“ w sali Tow. Naukowego, oraz drugi w I. P. S. Następnie udał się do Lwowa na premjerę sztuki swej p. t. „Jeńcy“, granej w Teatrze Wielkim (przekł. Hanny Mireckiej). Sztukę tę grał z powodzeniem teatr Picasso w Paryżu.

Teatr Instytutu Reduty ma wznowić „Murzyna“, sztukę Jerzego Szaniawskiego.

Aleksy Tołstoj ukończył nową sztukę p. t. „Katastrofa indywidualizmu“. Jest to — jak widać z tytułu — sztuka, stwierdzająca upadek indywidualizmu, a propagująca ideologję kollektywu.

Komunikat z placu Boya

Wywiad Boya w „Tygodniku Ilustrowanym" brzmi tak, jak owe uspokajające komunikaty w czasie wojny światowej, kiedy to zamiast powiedzieć: „nasza pobita i zdemoralizowana armja ucieka w popłochu z przerwanej linji frontu", pisało się: „nasze waleczne wojska planowo i w najlepszym porządku odłączyły się od nieprzyjaciela".

Komunikat „z placu boya" wygląda tak niewinnie, że aż podejrzanie: człowiek runął jak długi, ale podrywa się z wdziękiem i kroczy dalej, rozglądając się ze zdziwieniem: „kto upadł? ja? ależ nic podobnego!"

Boy wmawia sobie i swoim przyjaciołom, że nic się nie stało. Status quo ante. Parskajmy śmiechem, bo oto jacyś tam, gdzieś, na łamach niepoczytnego pisemka, myśleli, że mnie zlikwidują, a ja sobie zdrów i wesół chodzę, a nawet hasam jak wprzódzi... śmiejmy się!

Cóż, kiedy nikt się nie śmieje. Każdy rozumie, że sprawa jest zbyt poważna, by można było wywinąć się z niej śmiechem. Każdy wie, że w podjętej walce idzie o wartości niezłomne, surowe w swej wielkości, wieczyście realne, choćby komuś podobało się z nich żartować. Mają one to do siebie, że gdy się przeniesie dyskusję w ich sferę, *zmuszają do zajęcia jasno określonego stanowiska*, i jeśli adwersarz próbuje je obejść, zagadać, zignorować, miażdżą go pogardliwym wyrokiem jednostronnym. Wolno było Boyowi wykręcać się od dyskusji i uśmiechać się szyderczo, dopóki wymyślano mu personalnie, i dorywczo, bez przeciwstawienia mu jakiegoś sprecyzowanego światopoglądu; gdy jednak postawiliśmy sprawę na ostrzu miecza intelektualnego i moralnego, ostrzu myśli bezosobowej i sumienia narodowego, gdy wprowadziliśmy w grę kryterja Prawdy i Dobra — został on już „honorowo zobligowany" do otwartej wypowiedzi. Nie uczynił tego, dowodząc, że lęka się skrzyżowania szpady, i w tej dziedzinie problemów, jaką poruszyliśmy, jest całkowicie bezsilny. Ale jeżeli tak, to robienie dobrej miny do złej gry, jest conajmniej ryzykowne dla jego sławy i autorytetu, bo nawet dla kapuścianych głów jego trick odwrotowy z „odłączeniem się od nieprzyjaciela" jest całkiem przejrzysty.

Nie chodzi przecież o to, że po całej tej łaźni intelektualnej (podczas której Boy napewno siódmym potem się oblewał), chodzi on i hasa zdrów i cały, ale o to, że jego autorytet mędrca, krytyka, reformatora i wszech-sawanta jest podważony u samej podstawy tak nieodwołalnie, że teraz lada podmuch może tego sztucznego kolosa z gliny, skruszyć i zwalić. Żarty żartami — a fakty faktami. „Mais c'est la realité des choses" — mawiał Napoleon. Przeciętny czytelnik feljetonów Boya może sobie być ignorantem, nieukiem, pożeraczem sensacyj seksualnych i dowcipnych kawałów, ale w głębi duszy, w każdym takim człowieku żyje intuicyjny szacunek dla myśli i jej nieulękłych, twardych sztychów. „Udowodniono... wykazano naocznie, że Boy... i t. d. — takie zdańko ma, jako moneta obiegowa na rynku popularności, swoją przekonywującą wagę.

Boy udaje, że nie rozumie tego. „Od dwudziestu pięciu lat mnie likwidują" — powiada w wywiadzie, próbując załatwić się tak jednem machnięciem ręki z postawionemi mu zarzutami. Nie dostrzega jakoby żadnej różnicy między napaściami i okrzykami zgorszenia, z jakiemi spotykał się uprzednio, a planową, systematyczną krytyką jego rezerw umysłowych i jego działalności literackiej i społecznej, przeprowadzoną w „Zecie" (i w książce Irzykowskiego). Chciałby w ten sposób postawić nas w jednym szeregu z różnymi wstecznikami i obłudnikami, którzy zwalczają go nie dlatego, że akcja jego jest błędna i moralnie szkodliwa, lecz dlatego, że jest dla nich niewygodna i psuje im interes. Ale na to złapie się chyba niewielu.

Stwierdzałem niejednokrotnie, że nie występuję w obronie tego czy owego szczegółu obyczajowego, ustawy i t. p., lecz w obronie idej Prawdy i Dobra wogóle, w obronie wartości najwyższych, których naruszanie jest zbrodnią przeciw człowieczeństwu, i źródłem najstraszniejszych klęsk, jakie na ludzkość spadają i jeszcze w przyszłości spadać będą. Nic mnie to nie obchodzi, jeżeli to moje stanowisko będzie ktoś wygrywał dla swoich egoistycznych celów. Nalepianie na mnie i na całą akcję „Zetu" takiej czy innej etykietki, jest śmiesznem upraszczaniem spraw bardzo skomplikowanych. Podobnie kpię sobie z insynuacyj, że walka moja jest wyładowaniem jakiejś niechęci osobistej do Boya, której wcale nie odczuwam. Niech Boy i jego stronnicy dowiedzą się, że jestem osobnikiem (zapewne anormalnym w ich pojęciu), którego zupełnie nie dotykają i nie pobudzają emocjonalnie ataki i „krzywdy" osobiste, natomiast poruszają do głębi krzywdy wyrządzone sprawie ogólnej. Zniosę łagodnie i ze słodyczą, bez żadnej reakcji uczuciowej, najjaskrawsze napaści na Jerzego Brauna, jako „Istnienie Poszczególne" — zaś będę oburzony i wstrząśnięty aż do bólu, gdy ktoś będzie fałszował powszechne prawa umysłowe i zasady moralne, rządzące rzeczywistością świata: toteż szpileczki i pstyczki Boya, skierowane są pod całkiem niewłaściwym adresem i jego lekarska djagnoza okazuje się z gruntu fałszywa.

Uderzam w boyszewizm, jako w niszczycielską ruchawkę, jedną z tych, które burzą dziś podstawy spekulatywne i ład etyczny całej rzeczywistości ludzkiej, grożąc strąceniem człowieka z wyżyny, na jaką olbrzymiemi wysiłkami się dźwignął — w bagno degradacji dziejowej, aż do zwierzęcego, nawpół-świadomego bytu. Prądy takie uważam za tem niebezpieczniejsze, że podszywają się pod hasła humanistyczne, pod „życie świadome" „dobro człowieka" i tym podobne etykiety, pod któremi ukrywa się coś wręcz przeciwnego. Że wytwarza to okropne pomieszanie pojęć, dowody tego mamy na każdym kroku. Tak np. w „Gazecie Lwowskiej" p. Kawyn, występując w obronie Boya, wyraża zdziwienie, że właśnie „Zet", głoszące prymat rozumu, uderza w „Życie Świadome", boyowski dodatek do „Wiadomości Lit." Podobnie niektórzy widzą sprzeczność między naszą ideją *człowieka*, jako najwyższej normy dziejów, a walką z podjętą dla dobra tegoż człowieka propagandą „życia ułatwionego"; wydaje się bowiem, że owe więzy etyczne, narzucone przez obyczaj, religję i prawo, krępują w sposób brutalny wolność osobistą człowieka, przyprawiając go o najwyższe cierpienia.

Odpowiedź na takie powierzchowne zarzuty może być tylko jedna: właśnie dlatego, że chcemy tworzyć CZŁOWIEKA, musimy protestować przeciw gloryfikacji i wyzwalaniu z pod norm etycznych tego, co w nas jest zwierzęce. Kto podżega w nas „bios", negując „logos", kto rozdmuchuje ślepy żywioł, a niszczy normy, a więc czysty produkt rozumu, ten jest pustoszycielem człowieczeństwa i wrogiem.

Jestem stuprocentowym zwolennikiem *wolnego ładu moralnego*, czyli takiego, w którym wszelkie — jakiegokolwiek typu — otamowania i przymusy zewnętrzne będą absolutnie niepotrzebne. Ale, aby to mogło nastąpić, musimy wprzód rozwinąć w sobie nową siłę normatywną, którą będzie można podstawić w miejsce poprzednich. Siłą tą jest autonomja rozumu, źródło własnych norm postępowania, całkowicie wolnych, a jednak absolutnie zgodnych z dobrem powszechnem. Twórczo korzystać z wolności można tylko, zakładając sobie *obowiązki i cele*. Samowola i anarchja etyczna niema nic wspólnego z wolnością; wprost przeciwnie, czyni człowieka nieszczęsnem popychadłem żądz i impulsów, niewolnikiem warunków fizycznych.

Dla ludzi, którzy choć trochę przemyśleli ten problem, jest to jasne jak słońce. Ale inaczej jest w potocznem, prymitywnem pojmowaniu; tłum, i jego doskonałe medjum: Boy-Żeleński—łączą pojęcie wolności nie z *prawami i obowiązkami*, lecz właśnie z samowolą i bezprawiem. Popularnie i przystępnie wyłożone jest to zagadnienie w „Podstawach pedagogiki" Hessena; polecam Boyowi tę książkę (w polskim przekładzie A. Zieleńczyka).

Aby tedy ludzkość, po tylu cierpieniach i ofiarach, mogła wejść wreszcie do Ziemi Obiecanej, do ery wolnego ładu moralnego, koniecznem jest rozwinięcie w niej rozumu moralnego, jako źródła samorzutnie wytwarzanych norm etycznych. Prądy takie, jak „boyszewizm" niszczą to źródło, pozbawiając ludzkość jedynej siły, zdolnej założyć ów ład wolny. Dlatego są nietylko szkodliwe, ale wprost samobójcze, są zamachem na człowieczeństwo, i muszą być tępione. Z tem musi się Boy pogodzić, w myśl przysłowia: „gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą". Jego melancholijne pogróżki, że usunie się on w zacisze życia domowego — tak jak Fredro po nagonce przeciw sobie — nie mogą nas wzruszyć. Tu niema sentymentów, bo idzie o rzeczy wielkie. Jeżeli on, który dostrzega tylko pewien mały zakres potrzeb i cierpień ludzkich, nie waha się tępić jako szkodników i „zbirów" (wyrażenie Słonimskiego o klerze) tych, co — zdaniem jego — tamują zaspokojenie tych potrzeb i łagodzenie tych cierpień — tembardziej ci, którzy ogarniają większy zakres rzeczywistości ludzkiej, nie będą się wahali „zlikwidować" jako szkodnika, jego, który niszczy jedyny oręż człowieka w walce ze złemi potęgami bytu, *rozum twórczy*.

Chrystus zakazał plewić kąkol przedwcześnie, aby nie wyrwać razem z nim zdrowych i pełnych kłosów. Boy, plewiąc kąkol drobnych niedol i niedogodności życia płciowego, tratuje cały łan człowieczeństwa. Trzeba unieszkodliwiać szaleńców, którzy dla naprawy jednej śrubki w maszynie, dewastują samą maszynę, dla usunięcia bólu w małym palcu ucinają człowiekowi głowę, dla poprawy hygjeny mieszkań palą miasta. Szaleństwo takie podobne jest temu, które dla wyrównania różnic między ludźmi, a więc w imię sprawiedliwości społecznej, zrównuje nas na poziomie zwierząt, *pozbawiając wszystkich wszystkiego.*

Biada rozdmuchiwaczom krzywd, których nie można naprawić bez zrozumienia całego sensu dziejów. Kto chce działać dobro, a nie wie, jak się to robi — *zdziała napewno zło.* A kto działa zło, musi być odtrącony, napiętnowany, odłączony od powszechności ludzkiej, dla zapobieżenia szkodom, jakie mógłby wyrządzić.

Jeżeli Boy tego wszystkiego nie rozumie, jeśli ma odwagę zbywać małostkowym żartem te problemy, to znaczy, że umysłowością swoją nie dorósł do nich, wobec czego nie ma prawa brać się do jakichś reform społecznych w skali masowej. Dzieciom nie daje się do ręki noża i zapałek. Podpalacz świadomy bierze przynajmniej na siebie odpowiedzialność etyczną. Ale ten, co podpala miasto dla figla, a schwytany, nuci sobie beztrosko: trallala! — jest zjawiskiem potwornem.

Boy powiada, że trudne jest porozumienie z ludźmi, pozbawionymi organicznie poczucia humoru. Istotnie, kto wprowadza do reform społecznych kategorję humoru, zajmuje stanowisko zbyt ekscentryczne, by można z nim dysputować na serjo o tak zasadniczych problemach. Sądzę jednak, że Boy robi tylko naiwnego, i zasłania się sprytnie żartem, jak puklerzem, aby nie dać się wciągnąć w niebezpieczny dlań pojedynek intelektualny. Dowcip i humor tych panów, to zasłona dymowa, za którą odbywają się bardzo niepokojące machinacje. Gdy się demaskuje ich niecności i szkodliwą robotę, łatwo im zawsze wykręcić się sianem. „Ja tylko żartowałem!" Tak mój panie, ale twój żart miał skutki całkiem nie-żartobliwe, „oddziaływał" trująco na umysłowość ogółu. Dlatego musimy go uważać za środek do celu, będącego poza nim, a nie jako na „rzecz samą w sobie". Dowcip, jako narzędzie rozkładu i nihilizmu społecznego, może być czasem szkodliwszy, niż argument rozumowy, bo wciska się wszędzie, przemawia do wyobraźni, wytrąca krytym sztychem broń z ręki najwznioślejszym idejom i prawdom.

Za stary ze mnie wróbel (nie wiekiem oczywiście, bo liczę dopiero wiosen trzydzieści jeden), bym dał się wyprowadzić w pole tą metodą. Będę zawsze brał takie żarty na serjo i wyłuskiwał z pod nich cel i zamysł prawdziwy.

Najistotniejszy z całego wywiadu jest ustęp o różnicy umysłowości germańskiej i romańskiej, świadczy bowiem, że Boy próbował tu przenieść spór na nieco wyższą płaszczyznę. Ale i tu nie wyszedł on poza mielizny i płycizny banałów. Znaną jest potoczna opinja o „lekkości" francuskiej, a „ociężałości" germańskiej, i do tego truizmu właśnie Boy apeluje. Lekka, romańska umysłowość Boya obca jest mózgom, wychowanym w ciężkiej, germańskiej dyscyplinie filozoficznej! Ot co poprostu jest! Oczywiście jest to znowu próba ucieczki od zajęcia stanowiska wobec problemów i wykpienie się komunałem, w którym Boy celuje (i dlatego tak trafia do mas pół-inteligenckich). Ale skoro poruszył on już to zagadnienie i chroni się pod skrzydło owej „romańszczyzny", której się mieni w Polsce ambasadorem — podejmę rękawicę i spróbuję uderzyć w ostatnią, niezawodną rezerwę Boya, w ową wiekopomną zasługę przeszczepiania przezeń na nasze polskie drzewo wspaniałych pędów kultury francuskiej. Obiecuję uczynić to w jednym z najbliższych numerów.

Wszystkie te aluzje marginesowe (zawsze bezimienne — według klasycznych zasad „przemilczaczy" z „Wiadomości Literackich"), zaprawione nutą skargi, urazy i melancholji, świadczą tylko o tem, że Boy nie znajduje argumentów przeciwko akcji „likwidacyjnej" „Zetu" i radby się jakoś z trudnej sytuacji wywinąć. Przewidywało to wielu, powiadając nam, że Boy, jak kot, spadnie zawsze na cztery łapy. Ale te sztuczki w odniesieniu do nas nie mogą się udać.

Trzeba, żeby Boy i jemu podobni, spojrzeli raz nareszcie prawdzie w oczy i zrozumieli, że „dni Aranjuezu" minęły już bezpowrotnie. Jeszcze dwa lata, jeszcze rok temu, można było manewrować swobodnie i hasać bezkarnie po łące nieświadomości ogółu, nie było bowiem w Polsce latarni morskiej, oświetlającej jaskrawym reflektorem skradające się ku duszy narodowej korsarskie okręty. Dziś jest inaczej. Dzisiaj są ludzie, którzy czuwają, gotowi nietylko alarmować i ostrzegać, ale i śmigać mocno ostrzem po palcach. Zrealizowano bowiem myśl Konrada z 2-go aktu „Wyzwolenia" i stworzono w Polsce „cenzurę narodową", bicz Boży na tych, którzy narkotyzują naród i „duszę mu kradną".

Skrzypce Chochoła poddają wciąż jeszcze takt ohydnego, tanecznego kręćka bezmyślności, i bezwładu. Ale, da Bóg, nasz przeraźliwy głos przerwie sen i odegna od wrot rzeczywistości polskiej złowrogie straszydło. Bo już budzi się w społeczeństwie głęboka świadomość dziejowa i w blasku jej pierzchają ostatnie mroki. Dnieje!

J. Braun.

Słowo i Sława

(Uwagi o Legjonie I.)

O „opętaniu Wyspiańskiego przez Mickiewicza wspomina w rozmowach p. Stankiewiczowa. Istotnie Mickiewicz Legionu od pierwszej sceny, w której się pojawia i coraz bardziej w następnych — jest Mickiewiczem-Wyspiańskim. Przeczucie historycznego Mickiewicza, że przeznaczeniem Polski i Słowian są Słowo i Sława, Wyspiański w Legionie zmienia w pełną świadomość i przyjęcie na siebie tragicznego posłannictwa — swoje własne. I gdy ten Mickiewicz — „jego ubiór i strój jego: Sława" — zjawi się jako upiór w Wyzwoleniu, zbuntuje się przeciw niemu on sam jako człowiek. I będą sobie w twarz mówili każdy inną prawdę, Konrad prawdę życia, Genjusz — przeznaczenia.

*

Co Wyspiański myślał o widzeniu księdza Piotra, na którem opierała się wiara Mickiewicza? Odpowiedział Legionem: Mickiewicz dojrzał prawdę a tylko nie umiał dla swego widzenia znaleść „konstrukcji". Na skutek nienależytego powiązania poszczególnych części wzrokowo - słuchowej hallucynacji, którą miał niewątpliwie i spisał możliwie wiernie, nastąpiło zatarcie interwałów — okresów czasu przedzielających te części. Stąd niefortunne retusze, jak opis politycznego ukrzyżowania, usunięty przez Wyspiańskiego z jego wydania Dziadów; stąd zwykłym sposobem romantyków, interpretacja rozbiorów jako śmierci; stąd wreszcie nierozwinięcie motywu zmartwychwstania, skoro o wspomnianym na wstępie „wskrzesicielu narodu" nie ma mowy w dalszym ciągu. W rezultacie, pomieszanie momentów bliskich z dalszemi i jeszcze dalszemi i tragiczne nieporozumienia w życiu człowieka, który spodziewał się doczekać ziszczenia swej wiary i sam ją chciał ziścić.

Jest Legion w przyszłość rzutowaną rewizją europejskiego, politycznego i społecznego romantyzmu, ujętego na siedmdziesiąt lat przed jego tak osobliwem za dni naszych urzeczywistnieniem. Jest w szczególności *rewizją*, z rzeczywistością skonfrontowanej, *mickiewiczowskiej wizji*.

*

Zredukowane do najprostszej formy t. j. do motywu: śmierć dla Sławy, którą ma być danie ludzkości Słowa — widzenie księdza Piotra okazuje się identycznem z motywem: śmierć dla Sławy lub Słowa, na którym w okresie poprzedzającym Legion, opierał się teatr Wyspiańskiego. I tak samo, w zasadniczych momentach, pokrywa się to widzenie z Krasińskiego Snem Cezary i Legendą, gdzie nietylko „pogrzeby" mu odpowiadają, ale i „wesela": apoteoza Nieśmiertelnej = wniebowzięciu ukrzyżowanej; zawalenie się bazyliki i zasiadający na jej gruzach kardynał — mężowi, który na Sławie (zamiast na „opoce" pierwotnego tekstu) ogromny swego kościoła zbuduje.

Ponieważ Wyspiański uważa także, że Krasiński choć napięciem bohaterskiem Mickiewiczowi nierówny, wyraźniej naogół widział rzeczywistość — stawia go w Legionie przy boku Mickiewicza. Raz, jako ostrzegawcę przed złudzeniami co do Sławy, piekielnego upiora, który Wyzwolenie tylko w śmierci dać może; drugi raz, gdy się jego ostrzeżenia spełniły, jako pocieszyciela wskazującego, że oto na innym planie — na planie myśli bożej, której nawet Piekło jest mimowolnem narzędziem— jest to Sława Nieśmiertelnej ze Snu Cezary, Sława księdza Piotra — która i Rzym zbawi. Wizją Krasińskiego, dokładniej się pokrywającą z jego własną, Wyspiański koryguje i uzupełnia wizję Mickiewicza. Z dawaniem im obu lekcji pośmiertnych i walką z romantyzmem, nic to nie ma wspólnego.

*

Dwa pierwsze obrazy, to podmalowanie tła. Prolog tego, który się w siedmdziesiąt lat później rozpocznie, dramatu Słowa i Sławy.

Obojętnem jest kim była rzeczywista Matka, jak obojętnem kim był Wernyhora. Legenda Wernyhory opierała się na kłamstwie o miłości do nas Ukrainy, legenda Matki — na prawdzie naszego męczeństwa. I przez te usta, teraz w r. 1900, Wyspiański powtarza swoją zapowiedź z Daniela, odczytuje to samo co przed dziewięciu laty — tym razem pradziadowi tego, który i za tego przodka zapłaci. I zaraz — wraz z afirmacją, jak w Danielu, potęgi Słowa, które ciałem się stanie — ta zapowiedź Nocy tam, skąd Mickiewicz już widział wstające światło a skąd w scenie następnej, gladjatorzy przyjdą jacy byli i będą — białych czy czerwonych Cezarów. Fortuna, dziewka krasna, przed nimi: miraż dóbr materjalnych, z których tylko kruż krwi się ostaje.

Wyspiański nigdzie na swym teatrze nie zostawił napisu: Teatr Słowa, czy słowiański teatr Przyszłości. Ale tym, którym za dni jego zdawało się, że myślą o Słowiańszczyźnie — „A! Myśleć o Polsce i Słowiańszczyźnie i snuć ją w mglach oparnych z łąk i w złotym tęczy łęku" — i którzy mówili, że to jest wszystko, czego jeszcze nie zgłębił, odpowiada: „To jest NIC!!!" I gdy pisać zaczyna tragedję Słowiańszczyzny („*jedyny to sposób*, powie pracując nad drugą Legendą, *czytać myślą, co było i co będzie*"), nie zaczyna od dyskutowania problemów. Odczytuje los słowiańskiego Cezara i słowiańskiego ludu.

*

Gdy Wyspiański myśli o związku polskich losów z innemi losami, myśli przedewszystkiem o Słowiańszczyźnie i o Rosji. I gdy w Tragicznej Historji snuje analogję pomiędzy własnemi w latach 1901 — 1904 wykończonemi dramatami a szekspirowskim Hamletem, w tych samych latach o trzy wieki wcześniej powstałym, i gdy na myśl mu przyjdzie, że właściwie to i w tym Hamlecie znaleść by się powinno jakieś odbicie historycznej rzeczywistości — pisze ten szczególny ustęp o TRAGEDJI MOSKIEWSKIEJ: o Godunowie, Fiodorze, Dymitrze, duchu Iwana Groźnego. „Zdumiewającem wydaje mi się — tak zaczyna — że w tej tragedji Szekspira może i zgoła nie ma żadnego oddźwięku współczesnej wielkiej historji i dziejów rzeczywistych, którebу w tragedji tej przecie się wydobyły, — "... Nie pisze więc dlatego, by wiele wagi przywiązywał do faktu, że „właśnie równocześnie, gdy Szekspir dramat ten budował w latach 1601 — 1604, budował się i rozgrywał na wielkim świecie dramat i tragedja, równie wiele zagadek obejmująca, zagadek Hamleta godnych" — pisze dlatego, że myśli o innym teatrze, który już nie współczesną ale przyszłą historję buduje i rozgrywa i innych moskiewskich tragedji rozwiązuje zagadki. I niby to mówiąc dalej o Szekspirze i jego czasach i o tem, co wtedy działo się w Rosji, *daje szyfr własnego teatru:* prozaiczny ustęp najpierw, o konieczności ZESTAWIANIA jego SZTUKI ze samą już tylko rzeczywistością wydarzeń oraz o tem, że co z tajemnic odgadła SZTUKA, to i dziać się będzie musiało na wielkiej SCENIE ŚWIATA; a następnie, ustęp wierszowany od: „TAJEMNICE to bowiem są— rzeczy tajemne, które rozświetla myśl w lotnej pogoni" aż po: giezło-zasłonę, kolejami dramatu z żywych DZIEJÓW zerwaną.

*

Zagadka widzenia księdza Piotra okazała się identyczną, z jednej strony z „motywem" Lelewela i Klątwy, z drugiej z „motywem" Legendy, Warszawianki, Protesilasa. Należało teraz oba motywy powiązać w jeden — i rozwiązać jako zagadkę Mickiewicza. I Mickiewicz, ledwo się zjawia w Legionie — spotyka Sławę.

Stoją tam, w okolu zmarłego świata, ci dwaj pielgrzymi, jak stali wtedy i jak stanąć mieli, gdy się to samo tak właśnie spełniać zaczęło. Ten, który się rwie do przeznaczenia i tyle tylko wie, że ono istnieje i ten drugi, który do czynu nie dorósł ale przepaść zmierzył, na tej drodze otwartą. I odrazu, w tym djalogu, który wskrzesza tę przeszłość i jej przeczucia i przewidzenia w przyszłość przerzuca — myśl obejmuje cały wielki świat przeznaczeń Słowiańszczyzny, Rzymu, ludzkości. I odrazu, w wizji Krasińskiego, w kilku muzykalnych frazach na temacie „Słowo i Sława" osnutych, buduje się tragedja i dramat: w gruz padające sławy umarłe, daremnie wskrzeszane; dzień Sądu, dzień Zmartwychpowstania, który Słowo i Ciało ofiarą Ciała i Słowa pochłonie; Arka duchowa, kędy jest Bóg utajony, nad odmęty, nad potopu powodzie płynąca. — Ale Mickiewicz, na drogę swego nowego Legionu, wstępuje z temi samemi złudzeniami co ongi. „Nie wiedziałem — a była", mówił w Improwizacji o przepaści, którą Konrad Wyzwolenia dostrzeże, z chwilą rozebrania dekoracji. Zdaje mu się, że wielkie święto Sławy i zbratania już bliskie. Wywołuje Sławę. Widzi, że jest piekielnem mamidłem i śmiercią — „czyjeś serce wielkie bólem pęka, jak serce Chrystusa Pana" — i uprowadzić się daje Krasińskiemu.

Sławą zwie się także Wernyhora Wesela. Wyspiański w miesiąc później w Bronowicach zobaczył to samo.

Adam Ł. Cybulski.

Plastyka zagranicą

Francuska misja archeologiczna w Ras Szamra (Azja Mniejsza) ostatnio zwróciła na siebie uwagę cennemi wykopaliskami, z których najważniejsze pochodzą z okręgu świątyni Baala. Znaleziska mają bardzo różnorodny charakter. Oprócz sprzętów użytkowych są tam tablice z pismem sumeryjskiem i fenickiem. Dla badaczów sztuki najważniejsze są dwie srebrne statuetki i duża rzeźbiona stella.

———

W Tell El Amarna odkopano dwa bardzo interesujące fragmenty rzeźb egipskich. Są to głowy z posągów królowej Nefertiti oraz Amenofisa IV.

———

W Algierze zorganizowano wielką wystawę architektury i urbanistyki.

———

8 kwietnia b. r. ma nastąpić w Madrycie otwarcie reprezentacyjnej wystawy współczesnej sztuki francuskiej.

———

Sensacje (żałosną dla Włochów) wzbudził wśród muzeologów całego świata — fakt, który miał niedawno miejsce w Nowym Yorku. Stwierdzono mianowicie, że obraz Madonny z Dzieciątkiem, będący własnością Johna Levy, jest oryginałem słynnego mistrza włoskiego renesansu — Giovanni Belliniego. Dotychczas niedoceniane dzieło to — było jeszcze niedawno w posiadaniu prywatnej kolekcji Lazzaroni w Rzymie.

———

Na wielką skalę zakrojona, międzynarodowa wystawa nowoczesnej sztuki religijnej — otwarta będzie w Rzymie — jesienią b. r. W programie jej poważne miejsce zajmuje architektura. Ogromne zainteresowanie wśród artystów wzbudzają ogłoszone w związku z tą imprezą trzy konkursy: na dekorację wnętrza kościelnego; na opracowanie graficzne książki religijnej (wraz z kompozycją oprawy); na wykonanie muzyki kościelnej.

———

Muzeum „Massena" w Nicy zorganizowało bogatą wystawę artystycznej oprawy książki.

———

7 b. m. w galerji Georges Bernheima (Paryż) zamknięto wystawę płócien van Dongena. Malarz ten należy dziś jeszcze do najbardziej wziętych portrecistów świata. Tak jak Matisse wywodzi się z grupy „dzikich" (fauves). Jest od szeregu lat pupilem bogatej, snobistycznej klienteli. Dziś jego marka handlowa jest nieproporcjonalnie wyższa od jego artystycznych wartości, zastygłych oddawna w zablagowanej „dzikości".

———

W paryskiej galerji „Marcel Guiot" trwa wystawa litografji znakomitego romantyka Daumiera.

———

W galerjach Królewsko Brytyjskiej Akademji w Londynie otwarto wystawę kobiecego Międzynarodowego Klubu Artystycznego. Wystawa ta specjalnie uwzględnia dział architektury i dekoracji.

———

Genewa szykuje na połowę września b. r. wielką wystawę sztuki stosowanej.

———

W pierwszych dniach czerwca b. r. odbędzie się w Moskwie IV Międzynarodowy Kongres Architektury Nowoczesnej, organizowany przez C. I. R. P. A. C. (Comité International pour la Réalisation des Problèmes de l'Architecture Contemporaine). Polskę reprezentować będzie grupa „Praesens". W związku z przejazdem przez Warszawę uczestników Kongresu — urządzona będzie w I. P. S. wystawa architektoniczna. Pozatem projektowany jest cykl odczytów z zakresu budownictwa. Prawdziwą sensacją będzie francuska prelekcja — Le Corbusiera, duchowego wodza nowoczesnej urbanistyki i architektury.

„Jeńcy” Marinettiego

F. T. Marinetti: Jeńcy. 8 syntez połączonych. Warszawa 1932. Str. 29. Bibljoteka dramatyczna Drogi, nr. 2.

Leon Chwistek, pisząc — jeszcze w dawnej „Zwrotnicy“ — o teatrze przyszłości, zapłodnionym przez futuryzm, wysuwa na pierwszy plan element zaskoczenia widza, niespodzianki, niepowtarzalnej nowości. Stawia postulat *wielości estetycznej* (takbym to nazwał), polegający na tem, że utwór teatralny winien być zbudowany z mnóstwa fragmentów, stanowiących całości same dla siebie, a więc autonomicznych. Jest to radykalne zerwanie z fabułą, rozbicie jedności czasu i miejsca, oraz tożsamości psychicznej bohaterów. Jeżeli założymy, że śledzenie widza za fabułą, jako zainteresowanie całkowicie poza-estetyczne, nie ma nic wspólnego ze sztuką i powinno być z teatru wyrugowane, koncepcja takiej wieloplanowości utworu dramatycznego będzie oczywiście uzasadniona i konsekwentna. O ile... (maleńkie zastrzeżenie) zachowane będzie jakieś minimum związku pomiędzy temi różnorodnemi elementami utworu, inaczej bowiem otrzymamy albo szereg utworów *oddzielnych*, albo też jeden utwór chaotyczny, bezsensowny i poza-kompozycyjny, a więc nie mieszczący się w sferze sztuki.

Chwistek grawituje ku tej absurdalności, powołuje się bowiem na cyrk i variete, a więc zlepki produkcyj niczem wewnętrznie niezwiązanych, a mimo to dostarczających widzowi szeregu emocyj bezpośrednich. Jego analityczny umysł, pozbawiony aspektu syntezy, błąkał się zawsze po tych anti-metafizycznych zboczach (patrz: książka p. t. „Wielość rzeczywistości“), nie śmiał jednakże przekroczyć pewnej granicy, skoro dodaje, że przez wszystkie te „sceny-monady“, poprzez te fragmenty *wsobne* utworu dramatycznego, winna przebłyskiwać *jedność*.

Utwór największego futurysty, Marinetti'ego, nie spełnia tych postulatów; nie jest to ani konstrukcja tradycyjna, oparta na fabule, ani klasyczny teatr niespodzianki w znaczeniu „chwistkowym“. Myślę, że ta nieokreśloność polega poprostu na tem, że jest to utwór sztucznie spreparowany, przypadkowy, niekonsekwentny, słowem: słaby. Niespodzianek tu nie brak, ale nie mamy dla nich rezonansu ani w uczuciu metafizycznem, ani nawet w zwykłej pobudliwości estetycznej. W stosunku do widza przeciętnego, nie da się tu uniknąć pościgu za fabułą, gdyż rzecz ma podłoże realne, zachowuje jedność czasu i miejsca, i tożsamość postaci pierwszoplanowych. Zaś widz nastawiony na czyste przeżywanie *konstrukcji elementów* (wielości w jedności) zawieszony będzie w próżni z powodu rzucającego się w oczy ubóstwa wielości i zaniku jedności.

Nie wiadomo którędy i jak tu dotrzeć do zamiaru artystycznego twórcy „Jeńców“. Czy od strony metafizycznej dziwności istnienia (terminologja Witkiewicza), czy od strony symboliki, czy wreszcie od strony jakiejś idei przewodniej, będącej punktem stałym wśród płynnej, a mętnej zmienności momentów akcji tego utworu.

Ideą mogłoby być tu ukazanie kompleksu uczuć, związanych z ujarzmieniem, zamknięciem, niewolą. Izba więzienna, kazamata, ciemnica o niskim pułapie, ponure przytłoczenie potęgujące przez tę powtarzalność nastroju ucisk psychiczny aż do koszmaru; coś w tem jest niewątpliwie, są nawet poszlaki, że to było zamiarem autora, ze względu na podkreślanie jakby *więzienności samego istnienia* (dzikie zwierzęta w klatkach też są więźniami, żona dozorcy jest jeńcem jego zazdrości, dozorca jeńcem strachu przed śmiercią), oraz efekt końcowy, przywodzący na myśl *wyzwolenie*, pojęte zresztą grubo jako wydarcie się tygrysa z klatki (zjawisko nagiej kobiety wśród jeńców i żołnierzy). Ale jeżeli szło o to, to motyw twórczy był mgławicowo-prymitywny, a jego przeprowadzenie chwiejne i w rezultacie chybione.

Sztuka robi wrażenie wymyślonej na zimno, ale nie przez intelektualistę, lecz — co rzecz dziwna! — przez barbarzyńcę. Nic tu chyba nie jest zrobione dla wewnętrznej logiki (lub nawet illogiczności), a wszystko dla epatowania widza. Prawie jednocześnie czytałem „Orfeusza“ Cocteau — także w wydawnictwie Drogi — i śmiało mogę rzec, że to jest Sztuka, choć Cocteau bawi się również w niespodzianki i akrobatykę teatralną — podczas gdy „Jeńców“ stawiam poza obrębem sztuki, nawet stosowanej.

U Cocteau jest intektualistyczna, trochę naiwna, zabawa w sztukę, cyrk i teatr marjonetek zarazem, jakieś takie *igry estetyczne;* założenie metafizyczne utworu jest prawie żadne, a właściwie jeśli jest, to dziecinnie ubogie. Ale zato jest plan, kompozycja, celowe ustosunkowanie elementów, gra konsekwentna. Tego wszystkiego w preparacie Marinetti'ego dopatrzeć się nie mogę.

Przez fragmenty nie przebija tu żadna jednolitość. Części są źle sklejone, a więc całość nieuchronnie się rozłazi. W dziele sztuki nawet przypadkowość musi być konieczna. Tu każdy moment, każdy obraz mógłby być taki, a mógłby też być inny. Autor rozpoczyna wątki, jak dziecko, które jeszcze nie umie się bawić: porzuca je w połowie i nie wiemy nawet do czego miały one służyć. Myliłby się, ktoby się chciał w tem doszukiwać dziwności metafizycznej; jest to tylko brak zmysłu syntezy, niewytłómaczalności jednych zjawisk przez drugie, co świadczy o bezsilności kompozycyjnej.

Więc może jest to owa fragmentaryczność futuryzmu, czyli aspekt rzeczywistości, chwytający w locie, bezładnie i bez wyboru, wszelkie, jakiekolwiek jej wycinki, pojawiające się w obrębie naszej pojemności psychofizycznej. Nie, nawet i to nie, bo przecież zaplątał się tu i symbolizm, znowuż anemiczny jakiś i niczem nieuzasadniony.

Symbolika, o ile się jej używa w dziele sztuki, winna mieć dwie warstwy: widowiskową i znaczeniową, czyli zewnętrzną i wewnętrzną. Zewnętrzna, łatwa i prosta, trafiać ma do wyobraźni widzów niższej kategorji; natomiast wewnętrzna, trudna i skomplikowana, ma działać na tych, których myśl znajduje rozkosz intelektualną w odtajemniczaniu problematów i szarad. Otóż żadnej z tych warstw nie dostrzegam w symbolice Marinetti'ego. Symbole jego są puste.

To samo da się powiedzieć o jeszcze jednym ulubionym chwycie autora. Jest nim owa „gra przedmiotów martwych“. zdańko, które powtarza się w każdej niemal scenie w przypisach dla reżysera. Robi to wrażenie zużytego rekwizytu, którym autor posługuje się z nałogu. Pocóż ta „gra przedmiotów martwych“ w utworze par exellense psychologiczno - symbolicznym. gdzie punkt ciężkości jest w ludziach a nie w rzeczach. Dziś, gdy film (zwłaszcza niemy) tak precyzyjnie i bogato posługuje się tym elementem artystycznym, nie wolno już obchodzić się z nim tak symplicystycznie.

„Jeńców“ wystawił w tych dniach teatr lwowski (zapraszając przy tej okazji Marinetti'ego na premjerę). Żałuję mocno, że nie mogę zobaczyć tego utworu na scenie; możeby w oprawie scenicznej wyłoniły się zeń jakieś wartości w czytaniu niedostrzegalne, któreby złagodziły nieco mój sąd o nim, może zbyt surowy. Napewno jednak główny zarzut: braku jedności kompozycyjnej, utrzymałby się w całej swej mocy.

j. b.

O idee w plastyce

Wyraźna potrzeba idei, tak w sztuce jak i w życiu społecznem, idei, która byłaby prawdą nietylko jednostki, klanu lub klasy społecznej, lecz prawdą wielości jednostek ludzkich, a która pomieścićby w sobie mogła cały naród, powołała do życia placówkę, walczącą o kulturę polską, pod znakiem „Ryngraf“. Placówkę tę tworzą plastycy, a trybuną ich jest miejsce w dodatku literackim Kurjera Łódzkiego.

Celem placówki jest ustalenie, wyjaśnienie i wpojenie społeczeństwu zasadniczych postulatów ideologicznych, na podstawie których może się rozwijać twórczość artystyczna w Polsce współczesnej.

Postulaty te możnaby ująć w kilka punktów: 1-sze, impuls twórczości artystycznej wypływa z podłoża narodowego. Forma jako wyraz tego impulsu, kształtować się musi samoistnie, i nie może być przeniesiona ze wschodu ani z zachodu; 2-gie, kultura polska nie może wyrazić się w chęci podporządkowania innych narodów interesom Polski — ale w chęci pomnożenia ogólnego dorobku ludzkości swoiście pojętemi formami kultury; 3-cie, każdego artystę obowiązuje sumienne i uczciwe opanowanie rzemiosła, z którego rodzi się sztuka; 4-te, sztuka powinna wiązać się z najgłębszą treścią życia, powinna służyć najwyższym ideom człowieka, narodu i ludzkości; 5-te, zadanie sztuki nie polega na zadowoleniu wrażeń zmysłowych, artysta wgłębiać się winien w istotny sens sztuki jako organizatorki i nauczycielki życia.

Wychodząc z założenia, że każdy naród ma do wypracowania swoistą część dziejów ludzkości, że wypracowanie odcinka dziejów jest obowiązkiem narodu, pragniemy za pośrednictwem sztuki wskazać narodowi naszemu na właściwości jego duszy zbiorowej, które się w sztuce twórców, czerpiących podniety artystyczne z rodzimego podłoża, jasno już krystalizują.

Ustawodawcy i wykonawcy praw w życiu moralno-społecznem, wczuwając się i rozumiejąc duszę narodu za pośrednictwem jego sztuki, mogą snuć wnioski i widzieć kierunki, wedle których iść może przebudowa społeczna. W tem tkwi wartość społeczna sztuki.

Przekonanie, że drogi rozwojowe człowieka prowadzą przez uszanowanie odrębności jednostkowej i narodowej, utwierdza nas w budzeniu właściwości narodowych w sztuce. Jest to bowiem koniecznością zgodną z prawami rozwoju, które dążą do zróżniczkowania formy tam, gdzie wyższy jest poziom świadomości. Naród, który żyje duchowemi zdobyczami innych narodów, nie wytwarzając własnych wartości, jest pasożytem, a zatem czemś niemoralnem. Naród, który nie ma pretensji do wypracowania własnego oblicza w sztuce, a kształtuje swe oblicze na obraz i podobieństwo innych kultur, jest przedstawicielem parafjanizmu, gdyż skrzętnie maskuje swe wewnętrzne ubóstwo pozorami kultury.

Wiele kierunków nowoczesnych, określających formalną stronę dzieła sztuki matematyczno-geometrycznemi formułkami, z całą zjadliwą zaciekłością przekreśla wszelkie usiłowania wyprowadzenia form sztuki z podłoża narodowego. Pochodzi to stąd, że prawdę w sztuce przysłoniła im albo ciasna doktryna, która prawdą ogólną nigdy nie jest, albo wrażenia czysto zmysłowe. Kierunki te szkodliwe jako objawy, swemi rozkrzyczanemi nowinkami dezorjentują i przeszkadzają w poważnej pracy szukania rzeczywistego wyrazu w sztuce nowego człowieka — i albo degradują człowieka do roli odbieracza wrażeń zmysłowych, eliminując twórczą podnietę wewnętrzną, — albo gubią się w umysłowej formalistyce, pragnąc bez potrzeby wewnętrznej analitycznie stworzyć dzieło sztuki, które jest syntezą.

Stawianie na piedestale tylko formy tak zwanej czystej, jest takim samym oderwaniem się od życia, jak 19-towieczne hasło sztuka dla sztuki. Polsce potrzebna jest sztuka, która prócz wysokiego poziomu rzemiosła, mieć będzie sięgający w rdzeń ducha narodu pion idei. Taka sztuka może stać się pomostem do zbratania narodów słowiańskich i innych. Z podłoża narodowego wyrosła, nowemi wartościami zapłodnić może ludzkość i z tego punktu widzenia jest ponad-narodową.

Dzisiaj po odzyskaniu niepodległości politycznej, nabierają aktualności idee Teatru - Słowa, wyznawane przez Mickiewicza, a głoszone z desek scenicznych przez Wyspiańskiego. Dzisiaj nabierają rumieńca i wołają o pełną realizację norwidowe poglądy na sztukę wogóle, a sztuki plastyczne w szczególności. Dzisiaj już tylko przez sztukę, która opowiada o rzeczywistym sensie istnienia człowieka na ziemi, lub tę rzeczywistość unaocznia, wrócić można skołatanej ludzkości zatracone poczucie rzeczywistości. Myśl wypowiedziana artystycznie, prócz działania na intelekt, działa na uczucie, — łatwiej opanowuje człowieka.

Wobec szerzącego się coraz bardziej, doskonale zorganizowanego prądu, mającego na celu zniszczenie wartości ideowo-treściowej w sztuce, wypełniając pustkę ideową faktem i fakturą, wobec absolutnej nietolerancji sztuki uznającej organiczny związek treści i formy, oraz zupełnego braku zrozumienia intencyj twórczych u artystów (ostatnia napaść T. Czyżewskiego w Krakowskim Głosie Plastyków Nr. 7 i 8 1932 na Malczewskiego i Wyspiańskiego) mamy uzasadnione obawy co do intencyj i metod walki tych ludzi.

Wszyscy twórcy, których obowiązują wgłębi nasze postulaty ideowe, a pojęcie roli sztuki jest pokrewne, powinni słowem i pracą walczyć w obronie najwyższych wartości twórczych, powinni protestować. Dziś nie wystarczy już nieme niezgadzanie się na różne rzeczy, trzeba o nich mówić i trzeba im przeciwstawiać rzeczy większe.

Franciszek Walczowski.

Łódź, luty 1933.

Prawda o „Gazecie Literackiej”

W „IKC“ z dn. 6 marca (w dodatku literacko-naukowym) znajduje się artykuł p. t. „Litart, koło, z którego wyszła młoda literatura krakowska“ — podpisany „Redakcja“. Artykuł jest krótkim zarysem „historycznym“ działalności tego koła i jako taki winien mieć pretensje do ścisłości, gdyż okres ten należy już — przez swoją odległość w czasie — do historji literatury.

Ponieważ w artykule tym zauważyłem szereg błędnych, lub chwiejnych informacyj, uważam za wskazane, jako jeden z głównych aktorów owych „wypadków“, uzupełnić niedokładności, a błędy sprostować. Podaję oczywiście suche fakty, bez żadnego subjektywnego zabarwienia, tak, by przyszły badacz młodej literatury powojennej mógł z tego materjału informacyjnego korzystać.

„IKC“ podaje, że 12 stycznia 1926 roku przestał istnieć „Heljon“ (poprzednie koło lit. art.), a powstał „Litart“ „zgodnie z planem wypracowanym przez J. Brauna, J. Stępowskiego i W. Zechentera“, przyczem kierownictwo „Litartu“ objął W. Zechenter. Dalej opisuje artykuł żywą i rozległą działalność „Litartu“, jego imprezy kulturalne, wieczory poetyckie w Sosnowcu, Katowicach, Lwowie, Warszawie i t. d. „Ale imprezy nie wystarczają do spełnienia zamierzeń“, wobec czego „Litart postanawia wydawać własny organ“.

Wywołuje to wrażenie, jakby pomiędzy założeniem „Litartu“ a założeniem jego organu, „Gazety Literackiej“ upłynął dłuższy okres czasu. Tymczasem w tym samym artykule pisze się, że pierwszy numer tego pisma ukazał się 1 lutego 1926. Już samo zestawienie tych dwu dat mówi za siebie. Jeżeli 12 stycznia powstał „Litart“ a 1 lutego już się ukazuje *gotowy* pierwszy numer „Gazety Lit.“, to obie te imprezy musiały być conajmniej równoczesne w pomyśle. Tak też miała się rzecz.

W ostatnich dniach grudnia 1925 wróciłem z podróży po krajach skandynawskich do Krakowa z powziętym już zamiarem wydawania pisma literackiego. W ciągu pierwszego tygodnia stycznia 1926 przekonałem kilku bliskich mi ludzi, Polewkę, Zechentera, Stępowskiego, o konieczności radykalnych zmian w życiu młodego literackiego Krakowa. W parę dni potem odbyło się posiedzenie (12 stycznia), na którem rozwiązał się „Heljon“ i ukonstytuował „Litart“; na tem samem posiedzeniu przedstawiłem projekt dwutygodnika „Gazeta Literacka“, w którym „Litart“ partycypować miał udziałem w wysokości ⅓-ciej kapitału zakładowego, co jednogłośnie uchwalono.

Redakcję czasopisma objąłem ja, zaś prezesurę „Litartu“ W. Zechenter. Kierunek ideowy „Gazety Literackiej“ reprezentowałem wspólnie z A. Polewką, o którego wybitnej roli w redakcji artykuł „IKC“ prawie nie wspomina, choć był on filarem umysłowym tej imprezy. W. Zechenter i A. Polewka objęli redakcję w mojem zastępstwie w lutym 1927 r., gdy dla ratowania funduszów wydawnictwa zmuszony byłem wyjechać do Sosnowca na posadę.

Nieścisły jest cały ustęp końcowy:

„W maju 1927 r. wskutek wewnętrznego rozłamu „Gazeta Literacka“ przestaje być organem „Litartu“, który dotychczas łożył fundusze na cele jej wydawnictwa, zarówno zresztą jak poszczególni członkowie koła. Z redakcji „Gazety Literackiej“ występuje Witold Zechenter z większością członków koła i wkrótce potem „Gazeta“ upada“.

Przedewszystkiem „Litart“ nie łożył, bo nie miał z czego. Włożył na początku 230 zł., a potem jeszcze około 100 zł. z imprez odczytowych. Paru członków redakcji włożyło łącznie około 1.000 zł., ja natomiast *włożyłem w to wydawnictwo prawie 11,000 zł.* i sam płaciłem potem pozostałe długi. Rozłam wyglądał tak, że jeden z członków redakcji został usunięty, a W. Zechenter wystąpił, solidaryzując się z nim; zresztą rozstanie się nasze z W. Zechenterem było koleżeńskie i przyjazne.

Co do upadku „Gazety“ to nastąpił on nie z powodu usunięcia się Zechentera z redakcji, jakby to wynikało z przytoczonego ustępu, lecz: 1) z powodu zadłużenia, powiększonego jeszcze o 3.000 zł., wydanych na ogromny numer Słowackiego (najświetniejszy ze wszystkich, jakie ukazały się w Polsce z okazji sprowadzenia zwłok poety), a niepokrytych — mimo obietnicy — przez Komitet Obchodu*); 2) z powodu mojego wyczerpania nerwowego i zniechęcenia wytwarzającemi się na gruncie krakowskim stosunkami literackiemi; 3) z powodu wciągnięcia mnie w imprezę filmową, z której spodziewałem się zasilenia funduszów „Gazety“, a która — wprost przeciwnie — naraziła mnie na wielkie przykrości i straty.

Taka jest „prawda o „Gazecie Literackiej“ i o owych czasach“. Nie uważałem za potrzebne podawać jej wogóle do wiadomości publicznej. Skłonił mnie do tego jednak wspomniany artykuł w „IKC“, uważam bowiem, że nie jest dobrze, jeśli cokolwiek i gdziekolwiek pisze się nieściśle i niezgodnie *z faktami, choćby nawet w najlepszej intencji.*

Jerzy Braun.

*) Dopiero w rok potem Komitet wypłacił z pozostałych mu kwot 1.000 zł.

Moja odpowiedź „anonimowi“ z „Tygodnika Illustrowanego“

W „Tyg. Ilustr.“ z dn. 26.II b. r. ukazała się „druzgocąca“ anonimowa ocena mojego wystąpienia na łamach „Zet“ w sprawie Państwowej Nagrody Muzycznej. Anonima mam przyjemność znać osobiście z czasów, gdy pisałem ilustracje muzyczne dla teatru Narodowego, widocznie jednak raczy on nie pamiętać mej skromnej i młodej (napewno młodej!) osoby i dlatego przy nazwisku mojem umieszcza wyraz „niejaki“, chcąc mnie prawdopodobnie tym przyimkiem zgnębić i poniżyć.

Artykuł mój może niewątpliwie oburzyć zwolenników (czy tylko przyjaciół!) p. Morawskiego. Natomiast musi oburzyć każdego ten dziwny fakt, że ludzie niepowołani, laicy, ferują śmiałe wyroki muzyczne, rozdając wieńce laurowe i patenty na genjuszów. Trudno mi zrozumieć, dlaczego oni to właśnie się nie mylą, a fachowcom zarzuca się zuchwale brak kryterjów i odpowiedzialności moralnej?

Nie neguję wcale „istnienia“ p. Morawskiego; opinję moją o nim formułuję bez „żadnej wątpliwości wewnętrznej“, a tembardziej bez żalu. „Nie mam żalu do nikogo, jeno...“.

Anonim radzi mi atakowanie „żarem przepojonemi argumentami“, udowadnianie i przekonywanie — ale kogo? — chyba jego... ale czyż to jest obowiązkiem recenzenta muzycznego „Zetu“? I czyby to pomogło?

Henryk Gadomski.

O cel historji

W „Biuletynie Polsko-Ukraińskim“ w n-rze na luty 1933, znajdujemy ciekawe uwagi „Na tematy kulturalno-historyczne“ Jakóba Stojana. Pisze on m. i.:

„Pomimo modnych dziś wzdychań do „życia ułatwionego“ — przeżywamy właśnie najcięższy okres życia nadzwyczaj skomplikowanego i trudnego. Ulżyć temu życiu może *jedynie wielki, niezachwiany i dalekosiężny cel,* w którego promieniach staną się jasne i proste poszczególne zadania każdego dnia.

Cele drobne, obliczone na chwilę bieżącą (a potem: „jakoś to będzie“), oszukiwanie innych (a przez to i siebie), ideowe rozpraszanie się i rozdrabnianie (uchodzące często za mądrość), naiwna chytrość „polityki“ powiatowej — wszystko to w obecnej dobie jest występkiem a w konsekwencji — zgubą.

Relatywizm czy absolut, ilość czy jakość, osobowość czy „masa“, w górę czy w dół, organiczność czy „jednolicie-niepodzielny“ piasek, Zachód czy Wschód — oto naglące pytania, które należy rozwiązać niezwłocznie, gdyż inaczej grozi zastój i śmierć“...

REDAKCJA: Warszawa — Jerzy Braun, Dobra 59, I p. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.

ADMINISTRACJA: Warszawa, Dobra 59, I p. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, Warszawa, Solec 87.